

Dziś w numerze: ● **Wrześniowe drogi** ● **Robert Kennedy** ● **Raporty z porzeliska** ● **Ruch panowie w interesie** ● „I czwórkami do nieba szli” ● **Coctail z Jamera Bonda** ● **Felietony** ● **Recenzje** ● **Polonica**

odgłosy



Nr 35 (397)
4. IX. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



IDZIEMY DO SZKOŁY!

JAN BABIŃSKI

GARB NA WIDZEWIE

Fabrykant może się w dzisiejszych czasach utrzymać na powierzchni, jeśli posiada umiejętność wybiernia z dwóch kłopotów — mniejszego.

Lódzka „Anilana” na Widzewie takiej możliwości nie ma. Bo jej kłopoty jak na złość są jednakowe. „Anilana” produkuje już za dużo i za dobrze. To brzmi jak paradoks i jak nagrawanie się z uczuc naszych pań, które daremnie, z wpiękami na twarzy gonią za królowym sweterkiem, który by się nie gniótł, a po praniu nie wymagał prasowania. Biegają za dobrymi bluzeczkami, z anilaną opartej na licencji „Courtaulds Limited” w Coventry. To prawda, jak powiada znany pisarz, że Anglia broi się skutecznie od 900 lat przed

każdą nową, bronią odstrasza, jaka jest angielska kuchnia. Prawda jest jednak również, że ta sama Anglia przyciąga jak magnes wszystkich speców od włókien sztucznych. Bo w produkcji włókien, podobnie jak w wykorzystaniu energii atomowej dla celów energetycznych, Anglia jest światowym mocarstwem.

Sweterki, bluzki, wdzianka, koszule „made in England” są światowej niezrównanej jakości.

Widzewska anilana wcale nie jest gorzej od swej starszej siostry z Coventry.

Wywód na potwierdzenie tej tezy będzie może przydługi, ale nie na to nie poradzę. Nie można przecież żądać od nieufnych pań, by wierzyły reporterowi na słowo. A reporter przebywał na miejscu i też był nieufny.

Ciąg ściśle do siebie przylegających hal fabrycznych. Przez nie biega dwa równoległe linie przewodów, rurki i bębny. Na końcu do olbrzymich kadzi spływa rudo. Jest białe jak śnieg. Do zrudzenia przypomina egipską barwę. Ale jest raczej wełna, tyle, że zdjęta z owcy mechanicznej, o stalowym grzbiecie. Szczytem

wszystkiego jest dyspozytorna. Wielkie tablice rozdzielcze na których migają kolorowe światła. Między świecącymi się lampami liczniki, zegary, strzałki, jak w kabine pilota odrzutowca transkontynentalnego. Przed tablicą, na łabędziach, bodają trzech inżynierów i techników. To oni z tej kabiny kierują całą produkcją.

Niczego więcej nie trzeba. Czy jednak widzewska anilana rzeczywiście dorównuje światowym standardom?

Przyznaję, że sam miałem wątpliwości. Słyszy się tyle narzekania. A jeśli anilana z Widzewa jest taka dobra, to czemu wyrabiane z niej sweterki nie są tak atrakcyjne jak sweterki z komisów?

Sąd o Widzewie wydał ekspert u szanowanym w tej dziedzinie autorzytecie.

Zaproszono do Łodzi angielskich inżynierów, którzy uruchamiali podobne do widzewskej fabryki w Calais — Francja i w Skopje — Jugosławia. Ekspert — dysponował więc skalą porównań. Specje,

Dalszy ciąg na str. 4

MACIEJ WYSOCKI

Pięć dni w Sopocie

1.

Dla Was, z dala od Wybrzeża, Festiwal Piosenki jest imprezą nudną.

Sluchacie radia albo patrzycie w telewizor i trudno Wam pojąć, czemu na przykład taki Rudolf Schmidberger, słowiczek wiedeński, truje dzień po dniu z estrady zamiast arie wyciągać w Operze. To znów zachodziecie w głowę, po co Svend Asmussen skrzypki z sobą na scenę zabiera i rzepoli smętnie między jednym oddechem a drugim.

Macie cały szereg wątpliwości — wszystko Wam za długie, za cikliwe, monotonne. I w dodatku ta reklama. — Wychodzi konferansjer, zapowiada gwiazdę: lat tyle i tyle, dziesięć filmów, płyt dwadzieścia, wspólne zdjęcie z Sina-trą, buźka z perskim big-beatowcem — jednym słowem: meteor światowy, którego nie znać nie sposób, chyba że się jest głupim Polakiem... Potem jeszcze konferansjerka dorzuci trzy grosze (za trzy tysiące dolarów honorarium) — powie jak doszło do tego, że tak strojna, szykowna piosenkarka zajeżdżała na jarmark w Sopotcie, i jakie to miała propozycje po drodze, w Olimpii i Berlinie...

No i jest już to cudo na estradzie. Już nawet kończy śpiewać. A Wy, co?... Wy patrzycie krzywo w ekran i z przekąsem:

— Taka ładna, a tak brzydko wygląda...

— Taka sławna, a tak cienko zawodzi...

I tak dalej.

Żaś gdy kończy się Festiwal, oddychacie z ulgą — niby po ciężkiej pracy — i nie jeden mówi:

— Chwała Bogu, że tę nudę mamy już za sobą.

Otóż ja chciałem Wam udowodnić, że Festiwal wcale nie jest nudny. Z wyjątkiem może tej głównej, oficjalnej części na estradzie, kiedy przez trzy bite godziny, przy jednej orkiestrze i niezmiennej scenarii — następuje twarz po twarzy, głos po głosie; wszystko zlewa się z sobą i miesza.

2.

Bo choćby taki Grand-Hotel, który był tego roku centralną siedzibą Festiwalu. Tu mieściło się Biuro Prasowe i odbywały konferencje, tu mieszkali wszyscy wykonawcy, a w kuluarach, w hallu czy kawiarni — spotkać mogłeś Ludwika Klekwa (sekretarz generalny sopockiej imprezy), Lucjana Kydryńskiego i jego włoską koleżankę po słowie — Renatę Mauro.

A więc właściwe kulisy Festiwalu znalazły się za bramą najwspanialszego lokalu w Sopotcie, za barierą strzeżoną przez kordon portierów, którzy sprawdzali skrupulatnie karty wstępu i wpuszczali tylko tych, co trzeba — organizatorów, dziennikarzy, ewentualnie jeszcze — ich rodziny, zagradzając z drugiej strony wejście sezonowym znakomitościom, przyzwyczajonym spędzać tutaj ranki i wieczory.

— Bardzo to brzydko — powiecie — tak traktować ludzi wyposażonych w piękne limuzyny i piękne portfele, którzy — gdyby nie Festiwal — byłiby w centrum uwagi.

I macie rację. Nie wypada trzymać pod drzwiami jak jakiegoś brudnego autostopowicza, co czeka niecierpliwie na autograf, pana badiarza z Łodzi czy Lublina. Wszak mógłby z powodzeniem wejść do środka i przedstawić się zagranicznej publiczności, błysnąć krwistym złotem sygnetu i zębów, rzucić z gestem kelnerowi napiwek. Ale pragnę Was od razu pocieszyć, że robili się pod tym względem wyjątki. Tak, na przykład wchodził swobodnie do Grandki Henio Bobas z osobistą eskortą pana Skiego. Znaćcie przecież pana Skiego z licznych publikacji prasowych. Onego czasu pisał o nim nawet najpoważniejszy polski tygodnik. To ten, co za pośrednictwem swoich agentów wręcza młodej kobiecie lewą szpilkę lub połowę pięćsetki mówiąc: prawa szpilka i brakująca połowa banknotu jest do odebrania pod tym i tym adresem o godzinie dwunastej w nocy.

Sprytne, co?...

W ogóle ludziom na sprycie nie zbywa. Pośród festiwalowych gości brylował codziennie pewien utleniony gluptas z Łodzi, który już w czerwcu dwa miesiące temu (to jest dopiero perspektywiczny plan!) zaakredytował się listownie przy Biurze Prasowym jako dziennikarz. Wprawdzie mistyfikacja wyszła szybko na jaw, ale gluptas i tak umiał wykorzystać najmniejszą szczelinę, aby wpełznąć do środka swój utleniony ieb. Ba, w czasie koncertów uda-

Dalszy ciąg na str. 8



Na pierwszym planie od dawna działają dobrodusznymi zarysami panowie, grubasy ściągnięte cygara, miłośnicy piwa, serdelki z musztardą, golonki i rozmów prowadzonych półgłosem w kącie piwiarni — so gemütlich — i tak nie pasujący choćby do myśli o militarystyce. Widząc ich na zdjęciach czy filmie, mimo woli wspominamy karykatury tradycyjnego Michela w szlafmycy, mimo woli myślimy o pacyfistycznym usposobieniu mieszczańskim. O skrzętej i pracowitej zapobiegliwości. O dorabianiu się rzetelną pracą. Tak więc panowie stali się symbolami lub, jak kto woli, parawanami. Mówimy, oczywiście o grupie oficjalnie rządzącej w NRF. O panach Erhardach, Strausach, o tym oficjalnym „pierwszym garniturze” parlamentarzystów i rządów krajowych bońskiej republiki.

A za plecami dobrodusznym panów czuwa „drugi garnitur”. I choć ciążą im mundury skrojone tak, by w nich nie nie kojarzyło się nam ze złymi wspomnieniami, i chociaż z całej tej grupy rzadko ktokolwiek wypowiada się na tematy polityczne, wychodząc z założenia iż milczenie — w takiej robocie — bije głosem — przecież wiemy, kto zaci: to dawna hitlerowska elita oficjerska, to panowie ze sztabów Wehrmachtu, z jego rozlicznych central dyspozycyjnych.

Jednych znamy, pamiętamy ich nazwiska, czasem nawet ich fizjonomie w tamtych mundurach. Innych śladów nie zna — skrzętnie, od zarania ludobójczej kariery skrywał twarz przed każdym obiektywem; tak, jak np. właścicielki mięt nie zna pewnego zdejścia takiego choćby Gahlena, szefa USH tam różnych wywiadów niemieckich.

A więc pełna harmonii współpraca cywilów — tych dobrodusznym — i kółki generalistycznej — tej ukrytej na co dzień przed okiem światowej opinii publicznej.

Ten model działania — wiemy to z historii — sprzyja organizacyjnym pracom na pewnym etapie, jaki moglibyśmy nazwać etapem lizania ran i zbierania się do odpoczynku. Wtedy, w przyjemnej półkonspiracji, przygotowuje się kadry i plany — a wszyscy „za plecami grubasów — cywilów, którzy osłonią i zakryją przy tym cały świat deklaracjami o niemieckiej arcyprydatowości.

Ale w pewnym momencie gra taka przestaje być wygodną: pamiętamy, jak za czasów Republiki Weimarskiej pewnego dnia wszystkie te sepy w pułkownikowskich i generalistycznych mundurach wyszły z ułrocy by wspierać siły hitlerysty, odwetu; wojny. Pewnego dnia zapada decyzja, iż cywile — ci dobrodusznym i pseudopokoju usposobieni starsi panowie — nie są już więcej potrzebni. Wtedy ich się roztraca, występuje się przed nich, sięga po władzę.

Minister von Hassel ma ujmującą powierczość, jest wytrwałym graczem politycznym i zawsze nadaje swym wystąpieniom miłą, po-

godną familiarność. Takie człowiek — choć składają wiadomo o nim, że to arcyreakcjonista i zwolennik polityki z pozycji siły — taki człowiek jest przecież dobrym przykładem „nowej twarzy” zachodniemieckiego powojennego parlamentarysty. I właśnie ta „nowa twarz”, ów pogodny, pozornie zyczliwy dla całego świata sposób bycia, uładowy dynamiczny już od lat rozwój Bundeswehry, ekspansję polityki militarno-landrowej, skrytego sztabowego planowania przyszłego rewanżu.

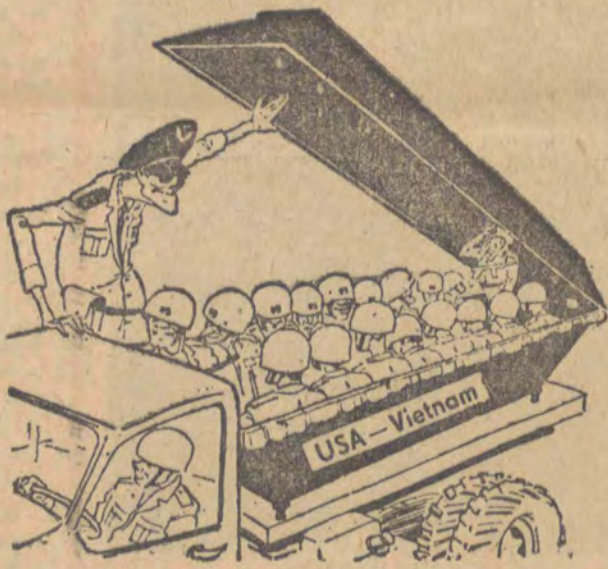
Ale ostatnio wiele się w Europie zmieniło. Francja opuściła NATO, Anglia, uwikłana w kłopoty finansowe, myśli o redukcjach — nieuchronnych z punktu widzenia budżetowego — wydatków na uzbrojenie, NRF, dość nagle, stała się oczywistym hegemonem resztek Paktu Atlantyckiego.

W tej sytuacji „drugi garnitur” — ten lubiący zaciężać ciszę, mrok i anonimowość, garnitur starych hitlerowskich sepy — uznał, że cywil pon Hassel jest już zbędny. Ze pora działać na własny rachunek.

Wybuchł więc słynny „bunt generałów”. Pretekst — afera myśliwców Starfighter — latających trumien, rozbudowanych w NRF wbrew ich przeznaczeniu, w lotniczym załączniku przyszłej powietrznej uderzeniowej siły atomowej — pretekst ten był wygodny i gwarantował poruszenie tw. opinii publicznej: cóż to za melodramatyczne obcenty, sześćdziesiąt wdów, pogrzeby dzielnych pilotów, frustracja pozostałych załóg! I wszystko jako dowód, że pora cywilom odejść. My, generałowie, tacy jak Panitzky i inni, lepiej to zrobimy!

Ale ten „bunt generałów” — jak na razie — nie zakończył się przejęciem władzy przez zbuntowanych. Nie budzą się jednak, nie to nie ma wspólnego z klasą niemieckiego rodem z Bonn militarysty: po prostu „pierwszy garnitur” nie wypuścił władzy z mocnych rąk. A może uznano, iż we współczesnej Europie taki triumf ekshiterowskiej soldateski zbyt skandaliczne światło rzuciłoby na prawdziwe oblicze pierwszego sojusznika atlantyckiego. Na to groźne oblicze mordery-recydysty sty. Na Bundeswehre.

ZASTĘPCA



— Czy wszystko w porządku, chłopcy?

TYGODNIA

W czasie wizyty w Meksyku Sekretarz Generalny ONZ U Thant oświadczył, iż obecna sytuacja międzynarodowa jest po raz pierwszy tak poważna i niebezpieczna od zakończenia II wojny światowej.

W wywiadzie dla prasy premier CSRS Lenart mówiąc o zagadnieniach gospodarczych wskazał, iż na wewnętrznym rynku Czechosłowacji towary importowane stanowią jedynie 5-6 proc., to jest bardzo mało. W wyniku tego — powiedział premier Lenart — asortyment wyrobów jest wąski i nieróżnorodny, co przytępia dążenie do konkurencji. Dopóki na rynku wewnętrznym będzie tylko tych 5 proc. artykułów importowanych, produkcja krajowa będzie dreptać w miejscu. Około 20 proc. — stwierdził premier — stanowiliby już ilość odczuwalną.

W początkach przyszłego roku w oxfordzkim teatrze wystawiona zostanie sztuka pt. „Sad nad Lee Oswaldem”. Autorem sztuki jest znany amerykański prawnik Mark Lane, który od dłuższego już czasu nie szczędzi krytycznych opinii pod adresem ustaleń Komisji Warren, powołanej w swoim czasie w celu zbadania okoliczności mordu J.F. Kennedy'ego. Sztuka będzie się składała z dwóch części. Część pierwsza — to akt oskarżenia przeciw Oswaldowi, część druga, jest jego obroną.

Amerkańscy eksperci ekonomiczni obliczyli, że w przeliczeniu na głowę ludności wpływ podatkowy partyzantów w południowym Wietnamie są wyższe niż rządzących sajskiego.

W radzieckim miesięczniku „Nowyj Mir” ukazało się opowiadanie pt. „Z życia

Fiodora Kuzkina” pióra B. Możajewa. Kola dziennikarskie Moskwy oceniają ten utwór jako rzadkie arcydzieło literackie, które można po-



— Nic z tego nie rozumiem im. W domu nas leją i le wiezie, a tu mamy bronić ich wolności!

równać z opowiadaniem Solżenicyna „Jeden dzień Iwana Denisowicza”.

Publicysta amerykański Jack Steele w korespondencji z Sajjonu pisze, że „wojna lądowa w Wietnamie Południowym znalazła się w impasie”, ponieważ żadna ze stron nie poczyniła poważniejszych postępów w kierunku osiągnięcia swoich celów. Mimo perspektywy zwiększenia liczebności sił amerykańskich impas ten — konkluduje autor — może utrzymać się przez długi czas, a nawet trwać w nieskończoność.

Radzieckie czasopismo „Nauka i religia” opublikowało artykuł o religijnych zabytkach Kremla. W artykule tym stwierdza się m. in. iż świątynie, posągi i treści religijne, ikony, należy traktować nie jak pozostałości religii, lecz jako wzory mistrzostwa i talentu architektów, malarzy i rzeźbiarzy.

30-letnia Włoszka, mieszkanka Gallipoli, stała się babcia, gdyż jej 14-letnia córka, od roku już zamężna, urodziła wnuczka.

Paryska policja kontynuuje kampanię wymierzoną przeciwko beatnikom. Od marca do lipca br. poddano przesłuchaniu 2.762 długowłosych osobników, tj. dwukrotnie więcej aniżeli w analogicznym okresie roku ubiegłego.

„Newsweek”: Wielu cywilnych amerykańskich polityków w rządzie amerykańskim prze powiada, że jesienią br. Stany Zjednoczone dokonają in-

wazji na Wietnam Północny. Ich zdaniem, wojska desantowe uderzą przypuszczalnie na południowe odcinki wybrzeża Północnego Wietnamu.

Szwajcarski tygodnik „Die Weltwoche” pisze o krytycznej sytuacji Berlina zachodniego. NRF od 1951 roku wydatkowała zawrotną sumę 34 miliardów marek, „aby utrzymać tę wyspę przy ży-

ciu”. Społeczeństwo zachodniego Berlina ulega procesowi starzenia. 19 proc. ludności miasta przekroczyło już wiek 65 lat. W Republice Federalnej analogiczna cyfra wynosi 13 proc. Statystycy obliczyli, że bez napływu nowych ludzi Berlin zachodni do roku 1980 zmniejszy się o 300 tysięcy osób.

W trzech radzieckich republikach nadbałtyckich (Litewskiej, Łotewskiej, Estońskiej) około 60 proc. ludności zamieszkuje miasta. W ciągu minionych 25 lat produkcja przemysłowa republik wzrosła 18-krotnie. Republik te o powierzchni stanowiącej 1 proc. terytorium ZSRR i ludności stanowiącej 3 proc. liczebności mieszkańców Kraju Rad, wytwarzają 8 proc. ogólnej ilości obrabiarek.

W kołach dziennikarskich Waszyngtonu mówi się o możliwości ustąpienia sekretarza stanu USA Ruskę z powodów finansowych. Podstawa tych spekulacji stała się rozmowa Ruskę z korespondentem czasopisma „Look”, podczas której sekretarz stanu oświadczył: „Żyję z moich poborów. Nie posiadam nic więcej. Oszczędności jakie miałem dawno się skończyły. Podobnie jak wielu innych ojców, będę miał jesienią tego roku dwóch synów na uniwersytecie. Kiedy nie będę już miał pieniędzy, będę musiał ustąpić. Sprawa jest zupełnie prosta”. Dodajmy, że roczne pobory Ruskę wynoszą 35 tysięcy dolarów.



Lewym okiem

MUZYKALNE KACZKI

Przed paroma tygodniami wydano w Niemiec Republice Demokratycznej zbiór polskich sztuk dramatycznych — „Polsche Dramen”. Pismo „Internationale Literatur”, anonując tę książkę, podaje jako cechę charakterystyczną naszej literatury współczesnej „Freude an Experiment”, czyli po polsku — frajda z eksperymentowania.

Konieczność czynienia doświadczeń na wszystkich odcinkach życia zarówno gospodarczego, jak i kulturalnego, społecznego, pedagogicznego, ba — nawet rodzinnego — jest niewątpliwa, a potrzebna przy tym odwaga ponoszenia ryzyka budzi raczej sympatię. Nie można jednak wiesznie eksperymentować, w kółko na okrągło, dla samego budzenia sympatii i celem włudzenia taryfy ulgowej dla zwyciężającego lenistwa i niedołęstwa. Czy nie wydaje nam się niekiedy, że nasza „radość eksperymentowania” zaczyna przybierać taką właśnie, obłudną postać?

Znam wielkie przedsięwzięcie, w którym już prawie wszystko jest przedmiotem eksperymentowania: dyscyplina pracy, metody rozliczenia zu-

życia surowców, tryb ustalania cen, zasady planowania, ewidencja kosztów, technologia produkcji, wzory druków sprawozdawczych, nabór kandydatów, opieka nad matką i dzieckiem, nad matką bez dziecka, upytanie złomu i odrażanie rezerw. Do tego ma dojść jeszcze eksperymentalne wyptacanie pensji administracji w dniu dwudziestego każdego miesiąca. Teoretyczne wyliczenia pozwalają bowiem przypuścić, że przy takim systemie pensje łatwiej wystarczą do pierwszego.

Z „Gazety Krakowskiej” wiemy, że szaleł przy ulicy Manifestu Lipowego w Krakowie jest szaletem eksperymentalnym, pozbawionym obsługi. Skutki tego doświadczenia odczuwają przechodnie i mieszkańcy okolicznych domów w promieniu dwustu metrów, nie wystarcza to jednak do wyciągnięcia konkretnych wniosków. Eksperyment trwa, promień rośnie.

Na niektórych dworcach kolejowych zniesiono eksperymentalnie kontrolę osób, wychodzących na peron. Na innych, gdzie takiej kontroli od dawna nie było, wprowadzono ją w trybie eksperymentu. Na jeszcze innych kontroluje się tytułem eksperymentu osoby, wychodzące z peronu, albo przestaje się je kontrolować.

Dla prostego eksperymentowania przynosi się w mieście przystanki na coraz inne miejsca. Dla eksperymentu radio przegrzywa w pewnym pegeerze koczkom, słownie: kaczkom, żeby szybciej rosły. Muzyka taneczna zastępuje im otręby, a w każdym razie zagłusza krzyk głodnego stada, co pozwala szybciej regenerować siły obłudze.

Eksperymentem artystycznym nazywamy zabrudzenie płótna brunatną farbą przy pomocy kropidla i powtórzenie trzysta razy słów: „pada deszcz” na całej stronie pewnego tygodnika i

eksperymentem w zakresie humorystyk jest arcypomysłowa transplantacja zgłosek w nie nie znaczących słowach, na przykład „koci-tapci — łoci-kapci”. A niż eksperyment wykaże, że można się z tego śmiać? Jakież by to było uproszczenie i potaniecie produkcji tekstów humorystycznych!

Każdy eksperyment musi być traktowany jako wyjątek w gospodarce planowej, uregulowanej — przynajmniej w założeniu — tysiącami przepisów. W każdym przypadku trzeba więc szczegółowo ustalić i ująć w przepis, którego przepis można w związku z danym eksperymentem nie stosować. Żeby to ustalić, trzeba najpierw ustalić sto szczegółowych, wyjątkowych zasad regulujących sam eksperyment. Ostatecznie eksperyment staje się drobniogowo, biurokratycznie opracowaną „sprawą”, urzędowym kawałkiem, z koniecznym rozdziałem na końcu pod tytułem „sprawozdawczość”. Z przeprowadzonego eksperymentu składa się oczywiście szczegółowe sprawozdanie. Sprawozdania zawsze potwierdzają tezę. Choćby dwa kolejne eksperymenty były sobie wzajemnie przeciwstawne, na przykład połączenie dwóch zakładów, a po paru latach rozdzielenie tych samych zakładów. Za każdym razem sprawozdania absolutnie potwierdzają decyzję podjęcia eksperymentu.

Może więc czas już na odmitycznienie słowa „eksperyment”. Zwykłe ulepszenia bieżące muszą być chlebem codziennym każdego odpowiedzialnego pracownika. Skończyć z zaczynaniem co tydzień od nowa, z wiecznym odkrywaniem Ameryki! Nadać eksperymentowi właściwą rangę właśnie przez ograniczenie zakresu tego pojęcia.

Na początek może w jednej branży. Dla eksperymentu.

ŚWIEK

DZIAŁOŚCZYŃ

Kwiecień sierpnia, a pogoda jak w październiku; zimno, wichura, mży jesienią kapuśniak. Jeszcześmy się nie polapali, że ta scenaria, ten zamglony horyzont, te zakazy deszczu, ten ziąb — że to wszystko stworzy nam autentyczny nastrój wizji lokalnej, ogledzin miejsc zbrodni — jakby zbliżonych w czasie, jakby widzianych tylko w mieście późniejszej; jakbyśmy tu przybyli w październiku, zaraz po wrześniu. Po tamtym wrześniu 1939 roku.

Ale ten nastrój będzie nam się narzucał z wolna. Na razie narzekamy, że pogoda taka kiepska; z narzekaniem wspinamy się na najwyższy w okolicy wzgórek. Prowadzi nas major Kierst z 30 Dywizji ZBoWiD-u siwy, żyłasty, o porętej marszowskiej twarzy starego wownika. Dziś on jest naszym przewodnikiem; stoi teraz pod najwą i wzruszająca figura Nopomuka („zburzona przez okupanta, została odbudowana przez miejscową ludność w roku 1945...”) ostaniami pozostałościami placu od deszczu stary, zniszczony zeszyt, kartkuje go i czegoś w nim szuka. „Tu był mój punkt obserwacyjny” mówi major i pokazuje na wymyty tysiącem deszczem, spłycyony przez czas, zarosnięty zielskiem wykop.

A niżej, u naszych stóp Warta płynie we mgłę i deszczu krygując się w wymyślonych, bardzo dokończonych meandrach. Po drugiej jej stronie, tej o bardziej strumyńskich zbieżach, dymia wapienniki „zasłona dymna” — żartuje nasz plastyk, już szkicujący ten krajobraz. „Wtedy dzień był kryształowy” mówi z gorczyca major, „widziałem jak się rozwijały spod tamtego lasu ich bataliony, widziałem wyraźnie każdy szczegół ich mundurów. Pomociliśmy ich trochę z artylerii, przysłaliśmy trochę do ziemi z kaemów. Ale to tylko na chwilę. A potem...”

Major Kierst z 30 Poleskiej Dywizji Piechoty przeleżał swój dzień i noc bojowy sprzed lat 27. „Przy moście posadziłem jedną kompanię, drugą rozpadłem aż do Bobrowni” mówi i pewnym ruchem bierze ziów w posiadanie cały ten znany teren w zasięgu szeroko rozwartego kata. „Pojmujecie panowie? Jeden batalion na taki szmat ziemi. Tylko batalion; z dwoma działkami i parą kaemami”.

Miasteczko przywarło do wzgórza, na którym stoją: zmieniło no, zniszczeniach wojennych swój plan i swa zabudowę. „Tego pałacu wtedy nie było”, mówi major (Odbudowano ów renesansowy pałac po wojnie). „Tam sterczały tylko jakieś szeregowe mury, jakieś ruiny, wspomina major. Wszedłem w te grzyby cekaem. A domków było wtedy więcej, podchodziły one aż pod las”. (Ta część Działoszyna, ów sławny żydowski Działoszyn zniósł już pierwszego września. Spłonął bez reszty z samego rana). „Tylko kościół stał w tym samym miejscu, mówi major. Kościół wysiadł tak samo. Krajobraz i ten kościół. A poza tym wszystko się zmieniło”.

30 Dywizja przybyła w ten teren po marcowej mobilizacji. Rozlokowała się od Szczercowa, przez wszystkie Osjakowy i Paęczną, te brzydkie małe miasteczka — aż po Działoszyn. Major stał na kwadracie w pobliskim Trebaczewie. Opowiada: „Miałem zask demonstrację. Kiedy jechałem na rozpoznanie terenu nie miałem prawa brać luzaka. Żeby nie drażnić Niemców. 31 sierpnia kazalem zwałić wieżę triangulacyjną, która wyznaczała bezbłędnie nasze pozycje. Dowódca pułku skrzyknął mnie „Będzie pan płacił za te wieże”. „Przecież będzie wojna, panie pułkowniku”. „Zapłacić pan za nią z własnej kieszeni!” „Pan nie wierzy w wojnę, panie pułkowniku?” I wtedy stary zmarskował — będzie wojna, powiedział, ta przeklęta wieża demaskowałaby pana, to fakt...” A przy moście, po jego drugiej stronie, zarosła zastłaniały nam przedpole, sektor ostrzału. Chciałbym się wyciąć, leżdziłem aż do Częstochowy po zezwoleniu

głównego oporu” („Szczerców”) — właśnie tymi drogami. Dziś są to nieźle drogi i przez wznagającą się ulewę, w bryzgach kału, straszac radośnie moknące na deszczu kaczki, nasza „Warszawa” całą tę trasę robi w godzinę. A wtedy? Wtedy najważniejsze były trzy elementy tego żywiołu, który leotretycy później dopiero nazwali wojną totalną. Ogień, pożoga wsi i miasteczek, błonace stogi, luny na cały horyzont. Powietrze, napełnione warkotem „Stukasów”. „Latali bez przerwy nad naszymi głowami, byliśmy bezbroni, ich lotnictwo załamywało żołnierzy psychicznie” — wspomina major Kierst. Trzecim żywiołem było cierpienie, rozpacz, strach tłumy uchodźców, którzy już zapachali wszystkie drogi. Zaczęła się krwawa wędrówka ludów. „Dla wojska nie było wolnej drogi przed marszu; tego elementu strategicznego nie przewidywalismy. Wojsko miało zszarpane nerwy już nie tylko bojem, nawet nie tą cholerną

me tabliczki z jednobrzmiącym napisem: „unbekannt” — nieznanym. Więc jedziemy do Prezydium GRN i tam napadamy — pod nieobecność przewodniczącego — na sekretarza: że co to za pomysł, groby polskich żołnierzy tak profanować? Niemieckie napisy? Trudno nam się opanować, podnosimy głos, a sekretarz schyłony nad maszyną do pisania, baka coś o wykonawcy, który takie właśnie tabliczki zrobił, o tym, że ich tu w Klukach „tak urządzili”.

Bzdurna historia aż nieprawdopodobna! Jakis facet o czerwoną twarz wtrąca się do naszej rozmowy. „Nie się nie stało” — mówi z przemądrzałą pewnością — „Na tym cmentarzu to nie tylko żołnierze leżą, tam pochowano i jakiegoś zbrodniarza...”

Wychodzimy z gminy, wsiadamy do samochodu: major zżyma się raz jeszcze powtarza: „To przecież groby polskich żołnierzy; a tym tu nie chce się o nich zadbać. Coś ta-

triumfalnego marszu na Wschód. Mieliby taką przewagę nad nami — mówi major. Gdybyśmy dysponowali wówczas lepszą techniką! Francja miała dobry sprzęt wojenny, mówię, mimo to maszerowali przez nią, jak przez Polskę. I później, w 1941 roku, nim Moskwa, Leningrad i Stalingrad ich zatrzymali, też maszerowali radośnie, pewni swej przewagi, tak jak w Polsce.

30 Poleska Dywizja między 5 a 9 września cofa się i przebiega się właśnie tym szlakiem na Andrespól, Brzeziny na Jezów, Polowa stanu bojowego. 25 proc. stanu. Ciosy z powietrza. Człgi w natarciu. Już nie wiadomo skąd Niemiec atakuje. Panika. I jeszcze — próby kontrataków. A potem bohaterkie i okupione krwawo wyrwanie się z okrajzenia w rejonie lasów Przyłek Duży — Jezów — Słupia.

Cmentarz w Jezowie, na którym w każdą smutną rocznicę 9 września spotykają się kombatanci, inny jest niż ten w Klukach: tu dbają o groby żołnierzy, i tych z 1939 r., i tych z partyzancki. Tylko nie wia domo co robią tu dwa groby policjantów, którzy zgineli w czasie walk partyzanckich. Bo nie jest pewne czy ci policjanci nie walczyli z chłopakami, których pochowano na tym cmentarzu pod płytą z napisem: „Nieznani partyzanci z AK”.

Ale ten cmentarz, cały w kwiatkach, to istotnie jakby małe mauzoleum wielkiej bitwy: tu zresztą znaleźli dla siebie miejsce tylko nieliczni z hekatomb ofiar owego epizodu września. Gdzie reszta mogił? Zapewne kryją się one po okolicznych lasach, już zapomniane. Może część ich odszuka młodzież harcerska? Może część ich mogiły wskazać miejscowa ludność? To, co ostatnio zrobiono dla uczczenia pamięci poległych — to już wiele. Ale wystarczy nawet krótka podróż — taka jak nasza — by przekonać się, jak wiele jeszcze trzeba uczynić by choć w części spłacić dług pamięci wobec tych, którzy oddali życie we wrześniowych bitwach. Gdzie reszta ich mogił?

WACŁAW BILIŃSKI

WRZEŚNIOWE DROGI

nie na wyręb paru topól. Nie przezeło: właściciel się nie zgadzał. Właściciel, pytam, chyba mylnarz? Tak, mówi major, właściciel mylna. Teraz ja komentuję: „Pewnie, że się nie godził. Ten mylnarz, niejaki Hartel, był szwabem. Za okupacji prowadził miejscowa placówkę NSDAP i był miejscowym komisarzem. Cóż dziwnego, że wówczas robił wam trudności...”

„A tu miałem punkt obserwacyjny...” Major wchodzi do plytkiego rowu i robi taki ruch, jakby chciał do oczu podnieść lornetkę. „Najpierw spadło na nas lotnictwo, zburzyło i spaliło miasteczko, ale wojsko miało straty niewielkie. Później przysłała nawała artyleryjska, ogień huraganowy. Obliczyłem, że w odciśnięciu naszego batalionu wstrzeliwały się chyba za trzy pułki artylerii. Wytrzymałismy i to: wieczorem kazali nam odchodzić na główne pozycje, nad Widawkę.

Na cmentarzu działoszynskim stoi skromny pomnik ku czci poległych żołnierzy Września. A wokół dwanaście mogił. Tylko dwanaście, mówi major Kierst wówczas, przed 27 laty, dowódca tych poległych piechurów z 30 Dywizji, Polaków i Białorusinów, Poleszków i Mazurów. Tylko dwanaście mogił? Gdzie leżą pozostali? — była sam siebie major Kierst. — Przecież trzeciego września, po wycofaniu się na linię Widawki, nie doliczyłem się dwustu ludzi...”

KLUKI

Wykrwawiona już w pierwszym dniu wojny Poleska Dywizja, nazajutrz odchodziła na linię rzeki Widawki — (wtedy mówiono: „Pozy-

przewaga techniczna przeciwnika — a głównie tym obrazem gehenny ludzkiej na zapchanych drogach, obrazem wzajemnie się trapiących i masakrowanych przez „Stukasów” uciekinierów ogarniętych taką paniką.

Dawne pozycje głównego oporu „Szczerców” na linii, pozał się Boże, rzeczki Widawki — po deszczach śniegającej kaczkom po kolana, to obszar wyleniałych zagajników, szarych wdm piaskowych i torfowisk. Za zasłona gęstniejącego deszczu, krajobraz ten jest smutny i niebohaterki, major przygląda mu się nieufnie. „Wszystko tu się jakoś zmieniło”.

To przez dwa dni w tym terenie — 4 i 5 września — 30 Dywizja Poleska zaciekle walczyła, krwawiąc w rozpaczyliwych przeciwnataciach. Niemieckie czolgi, powietrzne ataki „Stukasów”, nawały artyleryjskie, dziesiątkowanie, rozpacz coraz bardziej oczywistej kleski — i nocami kontrataki, brawura, determinacja. Piątego o godz. 22, przyszedł rozkaz odwrotu: w rejonie Piotrkowa wytorowała się krytyczna sytuacja, zagrażał kocioł, okrajzenie.

I zostały tylko mogiły: a potem jeszcze w latach okupacji zbierano je ukradkiem w cmentarzu. Taki jak ten, w Klukach. Szukamy go w jakimś bezdrożu, za nowo pobudowanym pęgerem: oto kaplica, w której odprawia się raz na miesiąc. A za nią krzyże na niektórych polskie, przestrzelone, wrześniowe hełmy.

Stajemy nad tymi krzyżami, pochylamy się nad mogiłami żołnierzy nieznanymi — i nagle doznajemy niemal szoku: na tych polskich krzyżach, pod polskimi hełmami, ktoś umieścił nowe świeże malowa-

kiego: niemieckie napisy!” Kluki nikną za nami w coraz gęstszej szarudze.

JEZÓW

Tuszyn, Andrespól, Brzeziny, tu trafiamy na drogi okropne, wyboiste, chyba takie, jakimi były przed laty 27. I ten deszcz, ta ulewa, od której aż zachylstuje się słońnik naszej „Warszawy”. Więc stojmy, woda zalała delko, kierowca wysiada, mokie teraz, usiłując wysuszyć przewody. Ależ leje, rowy napećniały od mętnej, brunatnej wody. Jakies nie zwłone pokosy mają już barwę zgaia, brunatną. Słoneczniki żobnie schyłone aż do ziemi przypominają topielice. Aleśmy się wtedy modlili o deszcz, mówi major. Pytam, czy deszcze zmieniły coś? Major nie odpowiada wprost: Wtedy wierzyliśmy, że deszcz ich może zatrzymać, że Ziemia rozmięknie, że obroni nas polskie, nieprzebyte, rozkiskie, jesienne drogi.

A co pan o tym myśli dziś? Czy zła pogoda coś by zmieniła. Przez cały czas niebo było bezchmurne. Jak na złość, jak na przekleństwo — mówi major. — Wtedy wierzyliśmy, że chmury, niski pułap chmur, mogłyby nas osłonić przed ich lotnictwem.

Ta wiara, te modlitwy o deszcz, to jeszcze jeden rekwizyt tamtej wojny — i nie ponadto: nawet po rozkiskłych drogach przeszłyby czolgi, nawet w chmurach działałoby lotnictwo. Może tylko trwałaby ta tragedia dłużej. Może kleska ostateczna — odwrętkaby się jeszcze o parę dni. I może mniej ludzi uciekałoby z własnych chat? Pogodne dni i ciepłe noce stały się tłem dla tego niemieckiego

KSIĄŻKI NADESŁANE

- Maria Kędzioryna — CZAR WIELKIEJ SOWY, WL, cena zł 15.
- Zbigniew Jakubik — CZAPKI NA BAKIER, W. Lub., cena zł 15.
- Stanisław Malawski — KSIEGARSKIE KONSPIRACJE, LSW, cena zł 11.
- Tadeusz Pawlak — KORZENIE, W. Pozn., cena zł 8.
- Katarzyna Suchodolska — CICHE TRAWY, W. Pozn., cena zł 8.
- Jerzy Edigey — WAGON POCZTOWY Gm 38552, Iskry, cena zł 17.
- F. G. Lorca — TEATRO BREVE, WL, cena zł 30.

UNE EXCLUSIVITÉ PARIS-MATCH



ROBERT KENNEDY

Znienawidzony przez rasistów brat zamordowanego prezydenta, rzeźnik równości praw obywatelskich w USA, odwiedził niedawno Afrykę Południową. Oto jego własna relacja z tej podróży, którą drukujemy za prasą francuską.

Na południowym krańcu kontynentu afrykańskiego góry opa dają pionowo do morza. Plaże zalewa naprzemian surowy Atlantyk i ciepłe fale Oceanu Indyjskiego. To właśnie tutaj, wysoko na kamienistych stokach Przyładka Dobrej Nadziei wznosi się dumne miasto Kapstadt, pomnik odwagi i godnego podziwu miasta Holenderów, Francuzów, Anglików, Afrykańczyków i innych, którzy złożyli jedno z najbogatszych i najbardziej energicznych społeczeństw naszej planety. Podczas gdy samolot leciał nad miastem wszyscy usmiechaliśmy się i gawędziliśmy, nagle ktoś powiedział: „Oto Robben Island”, i w samolocie nastąpi cisza i chłód. Albowiem w Robben Island mieszka ponad 2.000 więźniów politycznych Afryki Południowej — czarnych i białych. Są to profesorowie uniwersytetu i prości farmacyzy, zwolennicy niestosowania przemocy i rewolucyjni przywódcy, wszyscy złączeni braterstwem z tego samego powodu. To właśnie oni wierzyli w wolność, oni ośmielili się podjąć walkę przeciwko oficjalnej polityce apartheidu w ich państwie.

PODZIALENIE NAWET W KOŚCIOŁACH

Apartheid — afrykańskie słowo oznaczające odosobnienie, izolację — dzieli rasy Afryki Południowej — 3 miliony białych, 12 milionów Murzynów i 2 miliony Indian oraz ludzi kolorowych i pozwala białej mniejszości eksploatować niebiałą większość. Jeżeli w Afry-

ce Południowej nie macie białej skóry: — nie możecie brać udziału w życiu politycznym i nie możecie głosować. — posiadacie dostęp jedynie do tych posad, których biali nie zajmują. — wasze zarobki nie przekraczają 10-40 proc. płacy, którą otrzymuje biały za taką samą pracę.

— nie macie prawa posiadać ziem, z wyjątkiem ograniczonych sektorów. — żyjecie wspólnie ze swoją rodziną tylko wtedy, jeżeli zgodzi się na to rząd. — rząd wydaje na edukację waszego dziecka jedynie dziesiątą część sumy, jaką przeznaczają dla białego dziecka. — na mocy prawa jestecie czło wiekiem niższym od urodzenia aż do waszego zgonu.

— jesteście całkowicie oddzieleni od białych, nawet w większej części kościołów. Wraz z mą żoną Ethel przez 5 dni zwiedzaliśmy Afrykę Południową, rozmawiając z różnymi ludźmi reprezentującymi rozmaite poglądy. We wszystkich miastach, przez które przejeżdżaliśmy — Pretoria, Durban, Stellenbosch, Johannesburg — apartheid znajduje się w centrum sporów i dyskusji. Naszym celem była nie tylko krytyka. Chcieliśmy również nawiązać dialog, aby przekonać się, czy wspólnie moglibyśmy doprowadzić do tego, by słuszną racją przeważała nad przesadami i mitami.

Na uniwersytecie Natala w Durban powiedziano mi, że kościół do którego należy większość białych, traktuje apartheid

jako imperatyw moralny. Jeden z oponentów oświadczył, że niewiele kościołów pozwala Afrykańczykom modlić się razem z białymi, ponieważ tak naucza Biblia, ponieważ Bóg stworzył Murzynów po to, aby byli sługami. „A jeżeli Bóg był Murzynem?” — odpowiedziałem. „Co wtedy się z nami stanie po śmierci, jeżeli przez całe życie traktowaliśmy Murzynów jako ludzi niższej rasy? Bóg jest tam, podnosimy oczy, a on nie jest biały! A więc jak brzmie odpowiedź?” Nie było odpowiedzi. Jedynie głuche milczenie.

W Rzymie, kiedy Ethel i ja spotkaliśmy papieża Pawła VI, nawiazaliśmy rozmowę na temat Afryki Południowej — utraty praw człowieka, supremacji państwa, masowego odrzucania religii chrześcijańskiej przez czarnych Afrykańczyków, z których jeden wyjaśnił nam przyczynę tego stanu rzeczy mówiąc: „Bóg chrześcijański niewidzi Murzynów”. Troška i niepokój pojawiły się na twarzy papieża.

WIDZIAŁEM NIEPOKÓJ PAWŁA VI

Opowiadałem papieżowi o naszej wizycie w rzymskim kościele katolickim, poświęconym przez niego kilka lat temu w Soweto, dzielnicy Johannesburga, zarezerwowanej dla Murzynów. Papież przypomniał sobie bardzo dobrze to wydarzenie. Kościół ten ma formalnie prawo do posiadania terenu, na którym został zbudowany, zaś kapłan żył pod stałą presją rządu. Tak jak u wszystkich Murzynów Afryki Południowej, życie mieszkanców Soweto zależy od znaków zapisanych na indywidualnym „zezwoleniu na przejeździe”, które muszą mieć zawsze przy sobie. Pozwolił się aresztować bez tego zezwolenia

albo bez odpowiedniej pieczęci pracodawcy, którego nazwisko powinno na nim figurować — może oznaczać 6 miesięcy więzienia albo wygnanie w suche regiony kraju nazywane „tu byleczymi rezerwatami”. Nawet w niewielkim sektorze żona Murzyna afrykańskiego musi posiadać specjalne zezwolenie, aby mieć prawo żyć razem ze swoim mężem, o ile obydwie mogli znaleźć pracę w tym samym mieście. Jeżeli nie, może mu złożyć wizytę trwającą co najwyżej 72 godziny, ale tylko wtedy, jeżeli na piśmie wyjaśni jej powody. Przepis nakazujący posiadanie „zezwoleń na przejeździe” wywołuje — ponad tyciono aresztowań dziennie. Naliczono 5 milionów tych kar przeciwko czarnej ludności liczącej 14 milionów osób. Cóż dziwnego, że człowiek wyjęty spod prawa przez swój własny rząd zaczyna prowadzić życie wyjętego spod prawa?

BIALI: „JESTEŚMY OBLĘZENI”

Mówiono mi, że problemy Afryki Południowej są wyłącz nie jej wewnętrzny sprawami. Odpowiedziałem, iż okrucieństwo i nienawiść dotyczą ludzi całego świata, bez względu na to, gdzie się objawiają. Zaś Afryka Południowa mogłaby być zbyt łatwo doprowadzić do katastrofy kontynentu, a nawet całego świata.

„Ale pan nas nie rozumie, jesteśmy obłędni”. Niektórzy z tych młodych ludzi, studentów Uniwersytetu, członków Afryki Południowej (30 tysięcy członków) wtargnęli na lotnisko Malan w chwili lądowania naszego samolotu. UNSAP zaprosiła mnie za pośrednictwem swego przewodniczącego Robertsona, odważnego studenta uniwersytetu, abym wygłosił przemówienie z okazji „Dnia Przysięgi”. Rocznicą ta, przypadająca w tym roku na dzień 6 czerwca, potwierdza wiarę w demokrację i wolność tej organizacji, istniejącej 42 lata i to bez rozróżnienia języka, rasy lub religii swoich członków. Robertsona nie było na lotnisku i nie mógł on przyjąć na uniwersytet. Otrzymał zakaz przyjmowania u siebie większej ilości osób, zakaz ogłaszania deklaracji w prasie, brania udziału w życiu politycznym i socjalnym, oraz, chociaż studiuje prawo,

zakaz wejścia do sadu. # wyjątkiem sytuacji kiedy jest świadkiem. To wszystko pod karą grzywny. Robertson został „wymniany” na 5 lat przez ministra sprawiedliwości pod pretekstem, że w sposób bardziej lub mniej jasny „faworyzował komunizm”. Był to pretekst, powszechnie uważano iż przestępstwem młodego Robertsona było zaproszenie mnie do wygłoszenia przemówienia.

Mogłem zrozumieć takie poglądy. Afrykańczycy pochodzenia holenderskiego, którzy stanowią 60 proc. białej ludności, walczyli od 1806 r. do 1961 r. przeciwko obcemu panowaniu. „Voortrekkers” — dosłownie: „ci którzy posuwają się na czele” — zagarnęli w ciągu ostatniego stulecia obrzytnie tereny, po których jeździły ich karawany ciągnięte przez woły, zaś ich potomkowie walczyli podczas wojny burackiej. Ale kto był obłądony? Czyżby moi kompani przy obiedzie, którzy rozmawiali spokojnie pałac cygara i pijąc koniak? Czy też Robertson, Paton i Luthuli? Albo Indusi, wypędzeni z Okregu 6 — dzielnicy Przyładka — przeżywszy tam dziesiątki lat, podczas gdy ich przywódcy byli „wymniany”, ponieważ zaczęli protestować przeciwko ustroju. Albo Indusi, wypędzeni z Okregu 6 — dzielnicy Przyładka — przeżywszy tam dziesiątki lat, podczas gdy ich przywódcy byli „wymniany”, ponieważ zaczęli protestować przeciwko ustroju. Albo Indusi, wypędzeni z Okregu 6 — dzielnicy Przyładka — przeżywszy tam dziesiątki lat, podczas gdy ich przywódcy byli „wymniany”, ponieważ zaczęli protestować przeciwko ustroju.

„Ale pan nas nie rozumie, jesteśmy obłędni”. Niektórzy z tych młodych ludzi, studentów Uniwersytetu, członków Afryki Południowej (30 tysięcy członków) wtargnęli na lotnisko Malan w chwili lądowania naszego samolotu. UNSAP zaprosiła mnie za pośrednictwem swego przewodniczącego Robertsona, odważnego studenta uniwersytetu, abym wygłosił przemówienie z okazji „Dnia Przysięgi”. Rocznicą ta, przypadająca w tym roku na dzień 6 czerwca, potwierdza wiarę w demokrację i wolność tej organizacji, istniejącej 42 lata i to bez rozróżnienia języka, rasy lub religii swoich członków. Robertsona nie było na lotnisku i nie mógł on przyjąć na uniwersytet. Otrzymał zakaz przyjmowania u siebie większej ilości osób, zakaz ogłaszania deklaracji w prasie, brania udziału w życiu politycznym i socjalnym, oraz, chociaż studiuje prawo,

Dalszy ciąg na str. 4

GARB NA WIDZEWIE

Dalszy ciąg ze str. 1

po angielsku raczej ręką w pochwałach, uznali, że jakość widzewskiej anilany mieści się całkowicie w parametrach ustalonych przez tak zwany „reżim Coventry”. Jakość surowca końcowego odpowiada angielskim normom.

Dla uniknięcia nieporozumień od razu wyjaśnić, że licencję na produkcję anilany zakupiliśmy od firmy „Courtaulds” 4 lata temu.

Ilość wyrabianej w nas anilany wciąż rośnie. W tym roku Widzew dostarczy 4,6 tysiąca ton włókna ciętego i w tzw. kablu. Co można wytwarzać z anilany? Nie tylko poszukiwane sweterki, ale i koce, futra, dywany. Można wytwarzać także tkaniny sukienkowe i ubrania. Przed 3 miesiącami rzeczoznawcy „Courtaulds” zjawili się na Widzewie jeszcze raz. Pomagali w usunięciu drobnej awarii.

Spójrzcie tylko na nasze garnitury, śmiały się Anglicy do swych widzewskich kolegów. Przyjeżdżamy w tych samych garniturach już od 4 lat, a wyglądają, jak nowe bo są z anilany...

Tak więc z włókien akrylonitrynowych można wyrabiać wszystko, co człowiek na siebie widzia. Tylko, że trzeba wiedzieć: jak? I to jest właśnie węzeł gordyjski którego w kraju nikt dotychczas rozplątać nie zdołał. Doszło już do tego, że magazyny na Widzewie zalega przeszło 200 ton wyborowego włókna, na które nie ma zbytu. Równocześnie nasze panie „polują” cięstrudzenie na sweterki z anilany, na które zbyt jest. Prawdziwie błędne koło. Pesymiści twierdzą, że nawet kwadratura koła. Kółka uwaga, dla wyjaśnienia resztek nieporozumień.

To, co nazywamy anilaną, jest jedynie surowcem.

Trzeba go więc przerabiać na cienkie, trwałe, dobrze zwinięte i elastyczne nitki. Anilana wyrobiona na Widzewie to biały puch przypominający do złudzenia wate. Z tej właśnie jakby waty pociętej na kawałki lub dostarczonej w formie nieprzerwanego pasma, zwanego kablem — przedalnie zgrzebne i czesankowe wyrabiają przędzę.

Anilana cięta jest gorszego gatunku, anilana w „kablach” to włókno najwyższej, światowej klasy: szlachetnie, „późbowione” zwiń, jedwabiste i idealnie gładkiej powierzchni. To właśnie szluka produkowana takie włókno. To sam szczyt mistrzostwa. Inżynierowie widzewskiej „Anilany” utrzymują, że już dziś mogliby 60 procent ogólnej produkcji przekazywać przedalnikom w firmie „kabela”.

Tylko, że krajowe przedalnie „kabela” brać nie chcą.

Przedalnie jest kilkanaście, nie

tylko w Łodzi, ale też w Sosnowcu, Częstochowie i innych miastach. Wola włókna cięte choć z takiego włókna żaden cudotwórca nie zdoła wyprodukować przędzy na sweterki komisowej klasy. Więc cóż, kuracja? Wszecogarniająca niemożność? To raczej konflikt zbyt dobrej jakości surowca wyjściowego w stosunku do umiejętności personelu, który ma ten surowiec przetwarzać. To jak ze stalą szwedzką i żyłkami „Rawalux”. Stal jest świetna, a żyłki do niczego. Przemysł po prostu nie wie, jak obchodzić się z „kablem”, jaki z niego zrobić użytek.

Przerób anilany, to w pewnym sensie nowa gałąź wiedzy włókienniczej.

„Courtaulds” z Coventry przekazuje wytwórcę przędzy gotową, ale też prawnie strzeżoną recepturę. Jeśli jakaś firma powoła się na włókno „Courtaulds”, ale nie przestrzega załączonej receptury, wówczas odpowiada sądownie. Rygory są ostre. Coventry musi przecieć dbać o dobre imię — bo konkurenci tylko czekają na potknięcie. Na prawidłowy proces technologiczny kładzie się tam olbrzymi nacisk. O jakichkolwiek odchyleniach nie może być mowy. Fuszerka nie popłaca. Przekształca się natychmiast w bumerang, który bije po głowie, przede wszystkim po kieszeni, samego fuszera.

Myśmy kupili licencję na produkcję anilany.

W umowie znalazło się na szczególne miejsce dla pewnej, bardzo istotnej klauzuli.

Przedsiębiorstwo „Courtaulds” Limited zobowiązało się przeszkolić na miejscu, u siebie, polskich specjalistów w takim zakresie, by opowiadali bez reszty wszystkie tajniki przerobu włókna. Przyjeżdżając, prosimy bardzo. W okresie od 1962—1965 roku z zaproszenia skorzystały 42 osoby. Widziałem ich listę na własne oczy. Jest przyczynkiem do obyczajów. Na liście tej znaleźli się pracownicy zjednoczeń, instytutów i centralnych laboratoriów. Nie znalazł się natomiast na niej nikt bezpośrednio zatrudniony przy produkcji. Nikt z przedalników Łodzi czy Sosnowca, które mają przetwarzać nowe przędze u nas włókno, w dobrą, gładką, równą przędzę. W Anglii przebywały 42 osoby, a rezultaty tych wyjazdów są mało widoczne.

Czym więc zajmowali się wspaniali zjednoczeń w Anglii?

Najpierw informacja: przeclony pobyt jednej osoby trwał tydzień. Po odliczeniu dnia przyjazdu i angielskiego weekendu trwał kilka dni. Zastosowano więc rotację. Nadano tej rotacji, takie obroty, że musiał przyprawić o zawrót głowy. Pracownik zjednoczenia skończył przez kanał jedną nogą i szybko wrócił drugą, żeby zrobić miejsce dla następnego kolegi. Na dokładne studia czasu nie było. Może ci ludzie mimo wszystko wiedzą, tylko milczą? A może milczą bo nie wiedzą? Przez kilka dni przecieć niczego dowiedzieć się nie mogli.

W mieście Łodzi, w ubiegłym wieku, wysyłano za granicę „majstrów” wysłano ludzi, którzy stali przy maszynach, którzy je obsługiwali. Pewnie i teraz do Anglii powinieli być poleceni inżynier lub technik, który bezpośrednio dogląda przerobu anilany na włókno — który jest odpowiedzialny za produkcję. Ale do „Courtaulds” wysłano pracowników wysokiego szczebla, którzy powrócili też na szczebel, a nie do przedalnika. Te zaś wciąż nie mogą sobie poradzić z trudnościami.

Dochodzi niekiedy do żenujących sytuacji.

W pewnych przedalnicach nie powiem, w jakich, żeby nikomu nie sprawić przykrości, traktowano anilanę tak jak wełnę. Przerabiano sztuczne włókno w podobnych temperaturach, dawano mu taki sam skręt, jak samo barwiono, ba nawet gotowano. Z tak spreparowanej przędzy wychodzi dzianina drewniana, sztywna, krucha, wychodzi sweterki wprowadzić z anilany, ale z anilany sfuzerowanej. Działania z takiej przędzy rozciąga się i do kilku praniach wygląda jak worek.

Ala nie każda dzianina.

W wielu przedalnicach eksperymentowano na własną odpowiedzialność. Szukano klucza. Niektóre przedsiębiorstwa ten klucz już prawie znalazły. Stąd uderzające różnice w samej przędzy. W jednej wytwórni przędza żółta, krucha, w innej białulka, mocna, elastyczna — chociaż obie otrzymały z Widzewa taki sam surowiec wyjściowy. W różnych fabrykach dochodzi się do celu różnymi drogami. Niekiedy nie dochodzi się wcale. Dlatego wyrobę łódzkiej „Olimpii”, czy Legnickiej „Milany” są dobre a z innych dzianin zły. Receptury w Anglii nie kupiliśmy. Więc przedalnie i dzianinarnie muszą dopracować się własnych rozwiązań. Stąd i takie dziwolagi, że w sklepach kupuje się kołderkę o wadze zaledwie dwóch kilogramów, ale można też trafić na nieprawdopodobny „broch” który rozciąga się pod palcem.

W sumie dzieje się raczej źle w anilanowym królestwie.

Pierwszym dostrzegającym tego sygnałem jest niechęć krajowych przedalników do włókien w „kablach”.

Wracam do kwestii „kabela”, bo jest to jakby papierek lakmusowy, obnażający wszystkie słabości. A przecieć z „kabela” wyrabia się za granicę ze wszystkie cudeńka, które zdenerwowani musimy jesteśmy podziwiać w komisowych witrzynach. Komisja po dawnemu spełnia w miastach funkcje opłecznych sklepów samoobsługowych. Koją oczy. Ale i drażnią. Tymczasem technicy w nowoczesnych zakładach na Widzewie z bijącym sercem, nie kryjąc wściekłości muszą ciąć wspaniałe „kabel” na drobne kawałki. Niszczą wszystkie właściwości che-

micznego włókna, bo to jedynie, by dogodzić odbiorcom, którzy nie umieją sobie poradzić z surowcem naprawdę światowej marki.

Koszt produkcji, jest więc wyższy. A jakości końcowego produktu dużo gorsza.

Przebiega więc o eksporcie.

Będzie się wywozić z Widzewa anilanę po to, żeby określa drogą i za wyższą cenę sprowadzać ten sam surowiec w postaci gotowych sweterków. Krajowy rynek jest przecieć na to właśnie wyrobek wyjątkowo chłonny. Po drodze w kraju tak ubogim w surowce naturalne, oparcie w przyszłości w 50 procentach przemysłu włókienniczego na włóknaach szlucznych jest wyjściem jedynym, ze wszystkich możliwych.

Zapadła już zreszta decyzja o dalszej rozbudowie „Anilany” na Widzewie. Wkrótce mają tam być montowane jeszcze dwie dalsze linie produkcyjne, oparte o najnowsze

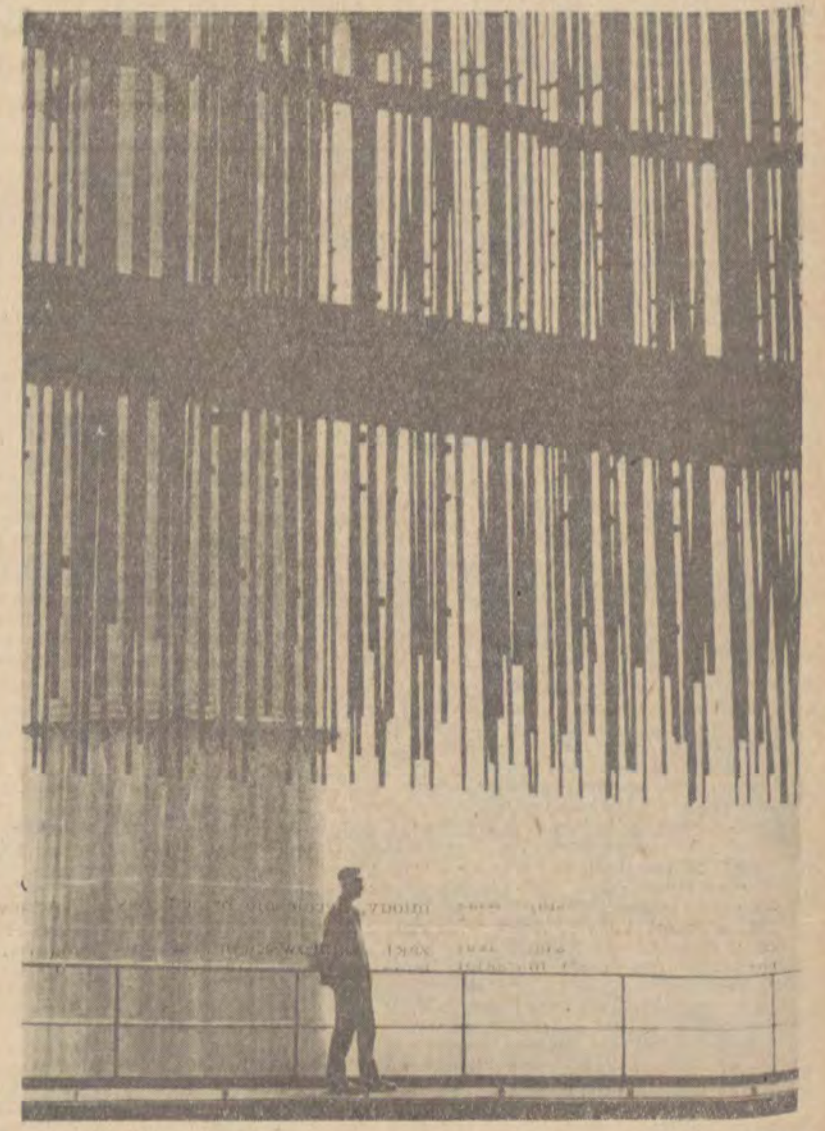
osiągnięcia techniki. Właśnie Widzew ma wprowadzić włókienniczą Łódź, tak serio, w XX wiek. Jest to zreszta konieczność jeśli zamierzamy znaleźć się w światowej czołówce.

Niestety anilana, jak kaczka krocy, ale się przy tym zatacza. Nie ma powodu, aby to zataczać.

Nie wskazujemy jednak palcem na Widzew. Uwieram się przy twierdzeniu, że Widzew już dziś produkuje za dużo i za dobrze. Jest niedobór sweterków w różnych „kalluksach” i jest nadmiar surowca na te sweterki. Kilkadziesiąt ton anilany zagwożdżono w widzewskich magazynach. Czyżby więc kwadratura koła? Nie, raczej garb na drodze anilany do przedalnika. Ten garb jest duży. Po części biurokratycznej natury.

Nie jest to jednak garb, którego nie można usunąć.

JAN BABIŃSKI



Fot.: A. Wiernicki

UNE EXCLUSIVITÉ PARIS MATCH

MATCH ACTUALITÉ

ROBERT KENNEDY

Dalszy ciąg ze str. 3

Ważnym elementem rozmowy o mowa zainteresowanych o przyczynie zamknięcia ani zarządca, aby wzięcia uwolniono. W końcu — ostatni szczegół — może on być zamknięty natchmiast po wypuszczeniu na wolność. Wiele osób zatrzymanych na mocy tego prawa popełniło samobójstwo. Baronia jest ukoronowaniem tego ustroju ucieku i przemocy. Minister sprawiedliwości ma prawo usuwać ludzi od działalności publicznej, może im wydać zakaz opuszczenia miejsca zamieszkania. Jego ofiary nie mają prawa kwestionować tej decyzji przed sądem. Partia polityczna może zostać w ten sposób rozwiązana przez wygnanie swoich szefów — taki właśnie los spotkał liberalną partię Alan Patona. Wygnani przywódcy znajdują się pod stałym nadzorem policji.

Cała ta władza znajduje się w rękach Balthazara J. Vorstera, ministra sprawiedliwości, który, zanonimowy tu, w między czasie, był uwieczony w Afryce Południowej podczas drugiej wojny światowej z powodu swojej działalności w grupach terrorystycznych, typu nazw. nekajacych brytyjskich szantów. Powyższe fakty zajmowały mój umysł, podczas gdy maszerowałem tego wieczoru wraz z 18 tysiącami studentów uniwersytetu Przykładka.

TUTAJ MURZYNI NIE MAJĄ PRZYSZŁOŚCI

Dyskryminacja rasowa w Nowym Jorku, nierówność rasowa

wa apartheidu w Afryce Południowej i poddaństwo w górach Peru. Ludzie umierają z głodu na ulicach Indii; były premier-minister został stracony w Kongo, tysiące ludzi masakruje się w Indonezji, a wszędzie złoto jest trwoniłone na zbrojenia. Są to różne szkody — ale one wszystkie są dziełem człowieka. Wszystkie odzwierciedlają wady sprawiedliwości ludzkiej, niedostateczność ludzkiego współczucia i wrażliwości na cierpienia naszych braci. Potrzebne jest więc obruczenie i wspólne działanie, aby usunąć niepotrzebne cierpienia naszych braci.

— W odpowiedzi John Danieł, wiceprzewodniczący UNSAP był wymowny i odważny: „dat nam pan nadzieję na przyszłość. Odnosił pan wołę nieosłabiania naszego wysiłku, tak aby wolność została przywrócona nie tylko na naszych uniwersytetach, lecz również w całym kraju”. Następnego dnia przemawiałem na uniwersytecie w Stellenbosch, z którego wyszli prawie wszyscy premierzy, ministrowie Afryki Południowej. Umieszczony w Zielonej Dolinie, pierwszy ośrodek niepodległości Afryki, jest dzisiaj źródłem afrykańskiej umysłowości. Spodziewałem się chłodnego, nieprzychylnego przyjęcia. Ale zostaliśmy przyjęci w słowach przez straszny hałas — uderzenia bitykami o blat stołu, co jest u studentów przyjętym powszechnie sposobem oklaskiwania. Było jasne, że większość wśród nich nie podzielała mojego zdania. Kiedy rozpoczęła się dyskusja, bronili apartheidu, mówiąc, że mogliby on stworzyć podwaliny dla dwóch narodów, białego i czarnego. Czyż Indie nie zosta-

ły podzielone na Hindusów i Muzułmanów? Zapytałem ich czy czarni mają wybór? Dlaczego biali nie naradzali się z kolorowymi? Murzyni Afryki Południowej tworzą 70 proc. ludności, ale zajmują tylko 12 proc. ziemi, bez portu morskiego i bez żadnego wielkiego miasta. Jak żyją oni w rejonach, w których ziemia jest już wyjątkowa i gdzie nie ma przemysłu? Również wychowanie nie przystosowane Murzynom dla przyszłości. Czarne dzieci nie są nauczone w języku angielskim albo afrykańskim, lecz w dialektach plemiennych, co uniemożliwia im poznanie nowoczesnej wiedzy. Nauka jest obowiązkowa dla białych, ale nie dla kolorowych; w ten sposób jeden biały na czternastu osiąga poziom uniwersytecki, podczas gdy tylko jeden Murzyn na 762 dostaje się do szkoły wyższej. W rzeczywistości jeden na trzech po zostających tylko jeden na sześciu chodzi do podrodznej szkoły. A co się dzieje z 2 milionami kolorowych i ani białych ani czarnych? Ich pozycja społeczna jest trochę wyższa od tej jaką posiadają Murzyni, ale dużo niższa od białych. Nie mają żadnej przyszłości, czeka ich jedynie jeszcze więcej upokorzenia i użamienienia. Poprosiłem redaktorów dzienników prorożadkę o podanie definicji „człowieka kolorowego”. Zastanowili się i odrzekli: „bękart”. Zapytałem więc czy dziecko białego ojca i białej matki urodzone poza małżeństwem jest również „kolorowym dzieckiem?”. Oświadczyli mi, iż jest to bardzo trudny problem. Następnie jeden z dziennikarzy powiedział, że

nie byłoby to ani czarny, ani biały człowiek.

- Czy mieszkańiec Ameryki Południowej byłby „kolorowym”?
- Tak.
- Indianin?
- Tak.
- Chińczyk?
- Tak.
- A Japończyk?
- Nie.
- Dlaczego Japończyk nie?

— Ponieważ Japończyk jest bardzo niewiele, powiedział mi dziennikarz. Następnie okazało się, że Afryka Południowa posiada liczne kontakty handlowe z Japończykami, wobec tego bardziej opłaca się szanować ich jako białych.

SKŁADAM WIZYTYE LUTHULI, LAUREATOWI NAGRODY NOBLA

— Później, na uniwersytecie Natala przed 10.000-osobowym audytorium powiedziałem: — „Być może jest poza tą sają jakiś Murzyn bardziej inteligentny, niż któryś z nas — są nawet szanse, że jest takich wielu”. Oklaski były dowodem, że słuchacze się zgadzali z moim zdaniem. Jeden z oponentów wysunął argument niejednokrotnie już cytowany: że czarna Afryka jest zbyt prymitywna, aby posiadać swój własny rząd, że gwałtowność i chaos są charakterystycznymi cechami mieszkańców Afryki.

Ubolewałem nad masakrami, które miały miejsce w Kongo. Ale przypomniałem mi również, że żadna rasa, ani żaden naród nie są wolni od błędów i okrucieństwa.

rym miejscem, pozbawionym rozrywki. Od 5 lat pół miliona mieszkańców Soweto nie otrzymało nowych wiadomości od swojego przywódcy Alberta Luthuli, który został skazany na wygnanie. Tego dnia o świcie wraz z żoną wybrał się helikopterem w kierunku „Doliny tysiąca pagórków”, aby mu złożyć wizytę. Luthuli mieszka w Grootville, oddalonym około 65 km od Durbanu, jest człowiekiem robiącym duże wrażenie, ma cudownie wyrzeźbioną twarz, jest męski i piękny. Na słowo apartheid w jego spojrzeniu ukazało się cierpienie i surowość. „Cóż oni robią z moim krajem, z moimi braćmi?” — wzywał Luthuli. „Czyż nie mogą zrozumieć, że ludzie wstydzili się i że każdy inny wybór może jedynie doprowadzić do strasznego miszmarcu dla nas wszystkich?” Podarowałem mu gramofon i kilka płyt z przemówieniami prezydenta Kennedy’ego. Luthuli wysłuchał mowy o prawach obywatelskich z dnia 11 czerwca 1963 r. Wszyscy słuchaliśmy w ciszy i skupieniu — szef Luthuli, jego córka, dwóch przedstawicieli rządu, moja żona i ja. Na koniec Luthuli głęboko wzruszony pokręcił głową. Przedstawiciel rządu w bezruchu obserwował podłogę. Opuszczając starego przywódcę myślałem o wierszu Szekspira: „Jego życie było szlachetne, a jego pierwsze zasady były tak dobre, że natura mogłaby odwrócić się i krzyknąć całemu światu: oto człowiek!”

Tego wieczoru na uniwersytecie Witwatersrand mówiłem o walce w imię sprawiedliwości, myśląc o Jamesie Meredith, odważnym „plechurze pokoju”, zranionym na jednej z ulic Mississippi. Oświadczył on: „Nikt nie powinien myśleć, że walkę prowadzi się dla innych. To co teraz wszyscy czynimy, jest walka dla nas samych. Albowiem nauka naszego wieku stała się fakt, że okrucieństwo jest

zarazliwe, a choroba ta nie zna żadnej granicy, rasy ani narodów. I mówim dalej — „Mój własny dziadek przeżył naprawdę ciężkie dni, a mój ojciec musiał definitywnie opuścić Boston, ponieważ widziano na murach plakaty ze słowami: „Przecież z Irlandczykami”. To wszystko co się teraz mówi na temat Murzynów, mówiło się wtedy o Irlandczykach katolickich. Byli to ludzie niepotrzebni, nie nie potrafili, nie mogli się niczego nauczyć. Dlaczego przybył oni urządzenie się właśnie tutaj. Dlaczego nie udali się z powrotem do Irlandii? Wtedy nie ulegało wątpliwości, że nie da się ich wychować i że nie będą mogli oni nigdy pełnić odpowiedzialnych funkcji. Moi afrykańscy słuchacze wybuchli śmiechem a ja nie mogłem się powstrzymać od dostrzeżenia zdania: Przepuszczam, że żyją jeszcze ludzie, którzy myślą podobnie.

W jaki sposób można doprowadzić do prawdziwego dialogu i mieć nadzieję, że problem zostanie rozwiązany, jeżeli wazę przeciwnik ustanawia prawo na w swoich rękach władzę zniszczenia was na swój sposób? — Powiedziałem dalej, że znam bardzo dobrze dyktando, któremu stawiają czoła, lecz jest tylko jedna alternatywa: walczycie albo uciec. Moim zdaniem duch godności i odwagi w Afryce Południowej nie uległ, nie, nie podda się. Byłem głęboko wzruszony inteligencją, determinacją oraz odwagą młodzieży i jej sprzymierzeńców w całym kraju. Myślę między innymi o Shule, studentce, która w Witwatersrand zabrała głos po mnie. Oświadczył on: „Musimy teraz wyzbyć się lęku, aby bronić niezależności myśli, sumienia i działania, będącej wytworem naszej cywilizacji. Powinniśmy się teraz zwrócić przeciwko porządkowi społecznemu, który nie jest do utrzymania i walczycie. Młodzi ludzie, są tymi, którzy tworzą naród, który mogą pewnego dnia uczynić z Afryki Południowej kraj światła i wolności i pozwolić jej zająć należyte miejsce w świecie!”

JAN Z WIDAWY, wernyhora, miejscowe kraczydło od nieszczęść, człek złośliwy i chronicznie pijany — przeczul wszystko poprzedniego dnia...

— Coś wisi w powietrzu — powiedział do Walentyniaka. Niuchnął nosem i splunął po trzykroć za siebie, żeby przegnać zło.

Powiedział to akurat wtedy, gdy w powietrzu była tylko nuda. Zmierzać zapadał, krowy porykując smęt nie — z pastwiak wracały, paru miejscowych wyrostków grać kończyło w karty na ściernisku, i ludzie schodzili z ganków żeby szykować się do snu.

Walentyniak też poszedł spać. Machnął ręką na Janowe gadanie.

— Popiliście kumie — powiedział. — W głowie wam się pomieszalo...

Kiedy jednakże Walentyniak zamknął za sobą drzwi stodoły, Jan jeszcze raz pociągnął nosem, uśmiechając się z ironią, domyślnie, z wyższością, która cechuje ludzi obdarzonych szóstym zmysłem...

1.

SŁOŃCE było od samego rana. Gorące, suche powietrze stało nieruchomo nad Widawą i dopiero, gdy dzień dobił południa, zerwał się lekki wiatr.

Kończyły się właśnie żniwa; dużo pracy na polach. W obejściach zostały tylko dzieciaki. Pokrzykiwały dziarsko za kurami, albo chlapały na siebie błotem i szlamem z małego bajorka, co gnije zaraz koło drogi, w bujnej zieleni, za szpalerem jabłoni i skarłowaciałych gruszek.

Stodoła Długoszów leżała jakieś pięćdziesiąt metrów od tego bajorka. Stara, słomą pokryta i zbożem wypchana szopa, trzeszcząca od spiekoty, o deskach poczerzniętych i sękach; materiał wymarzony na stos dla czarownicy lub okolicznego szarlatana, co to zaraz sprowadza na bydło i wywołuje pożar...

Stamtąd się zaczęło. O dwunastej. Z dachu stodoły, jak diabelski chochlik, wyskoczył języzek ognia i zabuzował wesoło na łagodnym wietrze. Ledwo go było z początku widać, ale rozprzestrzenił się szybko, i dzieciaki przy bajorku podniosły krzyk.

Krzyk ten zawędrował na pola, gdzie jedni ludzie pracowali w pocie czoła i gorączkowym pośpiechu, inni natomiast, aby, aby, leniwie, z ociąganiem, nieswoi jakoś i dziwni.

No więc kiedy dzieciaki podniosły alarm, ci z pola, starszyzna, rzucili robotę i do domów. Jedni szybko: na przełaj, przez żyto; drudzy opieszale, okrężną drogą, ścieżkami, z wyrzeczonym rezygnacją na twarzach, jak by świat zaraz nastąpić koniecznie świata.

Tymczasem ogień szalał już na dobre. Rzucał się na pobliskie stodoły i szopy, chaty i dachy murowanych domów, których w Widawie stoi przecież kilkanaście, rzucał się na drzewa owocowe, zwierzęta i ludzi, co z garnkami, miednicami i wiadrami w rękach rozpoczęli akcję ratowniczą. Wiatr zawiewał w głąb osady. Powstała panika. Ludzie z domostw nie objętych jeszcze pożogą wynosili co kto mógł — pierzyny, palta, to rower, to odbiornik radiowy, to znów mebel na wysoki połysk. Chaotycznie. Bez namysłu. Co było bliżej pod ręką, co akurat wpadło w oko i wydawało się cenne. Ktoś otworzył chlew i wypuścił świnia na drogę, ktoś drób przegnał z podwórka, stary Szymon pieska

szukał pod łóżkiem, matka Walentyniaka, sędziwa starowinka, ręce złożyła szepcząc coś w niebo, Walentyniak wygrażał komuś pięściami, klął szańczę, Ma rajda przed domem murowanym stanął strażnicy niecierpliwie wyglądając.

Taki był właśnie początek dramatu.

Taki, ale nie tylko taki. Oddajmy sprawiedliwość: nie wszyscy, przecież, gospodarze stracili głowy. Nie wszyscy wpadli w histerię.

lament i płacz. Bartłomiej S. na przykład — ze stoickim spokojem spoglądał na swoją szopę, która płonęła, jak pochodnia i wionął z niej odór spalonego żyta. Inni pogorzeli, których zagrody strawił już ogień do połowy, mieli twarze łagodne i wzniosłe, a ręce splecione w rezygnacji.

— Bóg dał, Bóg zabiera — szepcący, a tłum gapiów zgromadzony dokoła, który zazwyczaj błyskawicznie podchwytuje takie szeptki, kiwał z przekonaniem głowami, że to tak musi być — nie inaczej, że woli Boga sprzeciwiać się nie godzi.

2.

WRESZCIE — przystąpiła do akcji Straż Pożarna. W sumie — dwadzieścia dwie jednostki: zawodowe i amatorskie. Te pierwsze z Pabianic, Łasku i Zduńskiej Woli. Inne — z okolicznych miejscowości, których obywatele z zamiłowaniem uprawiają ten piękny i niebezpieczny sport.

Poszły w ruch pompy i sikawki. Ludzie w stalowych hełmach dokazywali cudów. Niestety...

Mimo ofiarnej walki uleciały z dymem: dwie chałupy pod słomą, trzy dachy na budynkach murowanych (bo takie też są w Widawie!) dziewięć stodoł, dziewięć drewnianych szop, pięć obór i cztery świnie, które padły od żaru, bądź spaliły się żywcem. Spłonął także mały piesek i cały szereg rzeczy mniej istotnych, jak pieniądze, pościel i ubrania, kiczowate malowidła sakralne itp.

Dziś wiadomo, że straty zamykają się łącznie sumą trzystu tysięcy złotych.

Wtedy jeszcze nie było wiadomo. Wtedy można było przypuszczać, że spłonie cała Widawa. Z krańców po krańce.

3.

NO BO TAK: kiedy straż pożarna dojeżdżała dopiero, a ogień tłumiono techniką starożytną: konewkami i kublami — część pogorzalców trwała w bezruchu szepcząc co najwyżej: Bóg dał, Bóg zabiera, zaś obserwatorzy obiektywni, niezaangażowani w dramat bezpośrednio, mieszkający z dala od pożogi — kwitowali to stwierdzenie przyjaznym pomrukiem.

Kiedy natomiast przyjechali strażacy i rozpoczęli prawdziwą wojnę z ogniem, gdy w ruch poszły pompy, sikawki, siekiery i każda para rąk była na wagę złota — gawiedź, ślepiąca z dystansu na pożar, odmówiła wszelkiej pomocy...

Jeśliby odtworzyć przebieg zdarzeń z magnetofonowej taśmy i filmowego projektoru odpowiedzi widawian na uprzejme zaproszenie strażaków: „No, ruszcie się chłopcy, do jasnej cholery!”

— Brzmiałyby bądź wyglądałyby jak poniżej:

— Nie mój dom — nie mój interes.

Wzruszenie ramion.

— Co się stało, już się nie odstanie.

Krok do tyłu.

— Mnie tam nikt by nie pomógł...

Głupkowaty uśmiech.

— Albo to co zmieni?...

Zwrot na pięcie.

— Przecie się sekurowali. Swoje dostaną...

mają w rękach kolorowe baloniki, lizaki, suszone kwiaty i obrazki święte. Wozy suną jeden za drugim, wszystkimi drogami, wypelzając z wąskich uliczek miasteczka, nie szanując pierwszeństwa przejazdu, tarasując główny trakt.

Cisnę klakson, a Makowiecki łapie mnie za ramię: — Daj spokój, nie wypadaj, to przecież pogorzeli...

Od tej chwili zaczął się nasz spór. Bo powiedziałem: — Jak to są pogorzeli,

ki, żeby sobie znów taką budę postawić?

— Takiej budy to już sobie na pewno nie postawią — mówię z przekonaniem.

— Aaa, teraz sam widzisz! — triumfuje i odwraca się do chłopca, który podszedł obejrzeć nasz samochód.

3.

CZARNY, to musi z urzędu — mówi z szacunkiem chłop, wskazując paluchem zrogowaciałym starą „Cytrynę”.

to ja jestem chiński biskup. Spójrz na te pijane gęby. Rzuć zapalną nad wozy, to buchnie płomień od samego smrodu wódki. Tak się zachowują pogorzeli? Bezczelnie i na wesoło? To musi być jakiś jarmark, albo co...

Makowiecki pokręcił głową:

— Nigdy nie wiadomo. Pogorzeli czasem bardzo dziwnie się zachowują...

Tak, jakby nie w życiu nie robił, tylko bez przerwy zajmował się pogorzelcami.

Makowiecki coś burczy pod nosem, bo niby po co chłopca z błędu wyprowadzić, i pyta:

— Co to za ruch, panie, tyle wozów?

— Aaa, to, panie, łódź świętego Rocha. Tak, panie, na smyntarzu grzebalnym, od rana. Bo my, panie, to tu lubilat obchodzimy, tego, Tysiąclecia. Ksiądz na piątą godzinę do kościoła na niespór zaprasza, a ja to miszkom zara obok.

— Obok kościoła?

— Nie, obok Widawy. Trzy kilometry. Ale we Widawie to już przed wojną bywałem. I we Wieluniu raz.

Chłop, nie chłop. Mowa, głowa i paluchy jakby chłop. Ale reszta — nie chłop. Garnitur dobrze skrojony, koszula biała z nylonu, krawat z węzłem fachowym. Nagle zdaje sobie sprawę, że wszyscy, absolutnie wszyscy chłopcy, jakich dziś zobaczyłem, byli w białych koszulkach (większość nylonowe po paręset złotych) w krawatach i bardzo dobrych garniturach. Całkiem jak miastowi... Tylko te twarzyczki słoneczkiem spalone i oczy, od gorzały błędne...

Zgniewał mnie ich antyfolklor. Przyjrzałem się uważniej temu, co z nami za dał. I — jest. Cała klawiatura.

Tracam go w ramię. — Panie szanowny, ma pan chwilę czasu?

— A jęzge! — przyświadcza ochoczo.

— To zapnij se pan rozporok.

4.

TAM za dymiącą chałupką zobaczyliśmy faceta, który sikał na zgłiszca, ale już nie z węża strażackiego. Spojrzał na nas poważnie, skończył i godnie odszedł.

Dalej grupa ludzi: cztery baby, chłopów trzech. Przechodzimy obok, niby obojętnie, wtedy baba jedna, mówiąca coś, wzmacnia głos, żebyśmy też słyszeli.

— Drzewina kole dumy to je dobro rzec — powiada. — Kiej by nie ta drzewina, wszystko by się do cna zbudowało...

Pokazuje grupkę drzew opalonych, które powstrzymywały ogień. Liście brunatne, poskręcane.

— A ludzie, cholery, to na czyją krzywdę tylko leca — mówi kobieta i się śmieje. — Nie upilnujiesz skurczybyków!

— Dużo wzięli? — pyta druga.

— Trzy prześcieradła, powłoczki i bluzy.

— A mnie kapę na łóżko i garnęk.

Kręcą głowami kobiety i śmieją się, bo też dziw, ja kie to te dzisiejsze ludzie. Tu się pali, a oni kradną.

— Czyj to dom? — pyta Makowiecki, pokazując dymiącą chałupkę.

— A mój — odpowiada wesoło kobieta i bierze się pod bok.

— A tamten?

— A też mój?

Bo tamten to murowaniec piętrowy z facjatą, dwa tygodnie temu postawiony, ma kobieta z czego być dumna. Tyle, że się w nim beikowanie dachu skopciło.

— Szkoda, wielka szkoda — uderza we współczucie M.

— A no, niby szkoda — śmieje się kobieta i macha ręką.

— Co, nie szkoda? — dziwi się M.

— Panie, dyć przecie to sekurowane...

5.

MÓWIĘ MU: — Frajeźrze, odszkodowanie za drewnianą chałupę dostanie, to sobie wykończy murowaną i jeszcze umebluje. Czy ty tego nie rozumiesz?

— Rozumlem — kiwa głową. — Ale plony? Przecież najwięcej stodoł się spaliło, pełnych zboża.

Na to podchodzi ten, co już se zapiął rozporok, i mówi:

— Panie, mnie by się tam opłaciło. Bo dziś gotowizna najważniejsza. Piniądz znacznie ma, a nie plon. Plon jest po to, żeby był piniądz. A jak będzie piniądz bez plonu, to jest coś lepi. Bo plon by trza omłócić, umordować się z niem, napocić, ludzi nać do roboty, i co to wszystko warte? A tak gospodarz, panie, weźmie gotowiznę. Tyle, że urzędowe sprawy pozalatwiać musi, no, to pozalatwia, do miasta Łodzi okazynie pojedzie, światu obejrzy. Straci na tem, suma sumarum, nie tak znów dużo, a co se mitręgi uratuje...

Zdumiał się Makowiecki.

Policzył szybko. I mówi:

— Jasne! Mnie by się też opłaciło i to jak.

— To „sekuruj” swoje rekopisy — radzę — i spal.

Zasmucił się.

— Ba, kiedy nie mam dzieci...

6.

BO DO TEGO, żeby z ognia jakaś korzyść wypłynęła konieczne są dzieci. Bez dzieci ani rusz. Najpraktyczniej trójeczka bardzo figlarnych dzieciaczek, lubiących bać się zapalkami w mrocznej, wypielnionej plonem stodoła.

Te dzieciaczki muszą posiadać jeszcze sporo cech nieomal nadprzyrodzonych, ale przecież realnych, skoro istnieją. Otóż muszą być to dzieciaczki bez imion, bez nazwisk, nie wiadomo czyje. Muszą wchodzić do cudzej stodoły absolutnie niepostrzeżenie, i opuszczać ją po roznieceniu ogniska w sposób równie cudowny. Muszą to być dzieciaczki zaprawione jak komandosi w przeżywaniu śledztwa, by spośród setki wszystkich dzieciaków miasteczka nie udało się ich wyłowić ani pasem, ani czekoladową przynętą.

I muszą być wspaniale zorganizowane, by nie wygapać jedno drugiego z obawy przed krwawą zemstą.

Te wszystkie cechy posiadają dzieciaczki widawskie.

Więc mówię:

— Wypożycz sobie, mój M., trójeczkę takich, albo adoptuj, wnuś do gabinetu. Będiesz miał sto tysięcy zysku, bo przecież powieść, która piszesz, może okazać się zła.

On mówi:

— Może, czy ja twierdze, że nie może? Ale zdaje się, że jestem dziwny gospodarz, bo cholernie lubię sam omłócić swój plon.

ANDRZEJ BRYCHT

Dwa raporty z pogorzeliska



Fot.: T. Wasilewski

ty, co chronicznie zalany staniał się miękko na nogach:

— A nie mówilem wzoraj?... Nie mówilem?...

4.

MÓWIŁ. Istotnie mówił. Tak przynajmniej twierdzi Walentyniak, co mu szopa od ognia zgorzała.

Ale mówił, nie mówił — jedno jest pewne; pożar można było zlokalizować i nie dopuścić do tak wielkich strat. Powołuję się w tym wypadku na opinię kapitana Edmunda Zagnera z Miejskiej Komendy Straży Pożarnej w Zduńskiej Woli, który dyrygował walką z żywiołem. Jego zdaniem — ludność Widawy wiele mogła zrobić, nim przyjechała straż...

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

NA DRODZE wiodącej do Widawy pełno wozów. Konie mają kolorowe wstążki w uprzęży. Na wozach pełno ludzi. Ludzie

ANDRZEJ GRUN

RUCH PANOWIE W INTERESIE

Obrodziło nam ostatnimi czasy w symposja, biennale, plenery... Ełbiąg, Koszalin, Łódź, Działoszyń, Puławy, teraz Skiernewice.

Każde większe środowisko organizuje jakieś wyjazdy, spotkania, obozy, wystawy. Ruch ten ogarnął całą bez mała Polskę plastyczną. I nie tylko plastyczną. Bo udział w tych rozlicznych przedsięwzięciach i akcjach biorą także najrozmaitsze instytucje i ludzie z wielu dziedzin nauki i techniki. I ośmielam się twierdzić, że niewiele było do tej pory w naszym życiu artystycznym inicjatyw zaskakujących na tyle baczną uwagę, na tyle rozsądnego porażki, mających przed sobą takie perspektywy, jak właśnie owe symposja i plenery. Bo coż kryje się za tymi pozycjami, do których zaangażowane zostały znaczne sumy pieniężne z miejskich i wojewódzkich wydziałów kultury, ze związków zawodowych, z poszczególnych zakładów przemysłowych, ze Związku Polskich Artystów Plastyków wreszcie? Czy chodzi o tylko o kilkutygodniowy wyjazd dla panów artystów, o towarzyskie spotkania i bezpożądane pogaduszki, o raporty i sprawozdania statystyczne? Otóż tym razem chodzi o coś więcej. Gra toczy się o stawki bardzo istotne zarówno dla samych artystów, jak i dla społeczeństwa mającego z ich usług korzystać.

Problemy kryją się w programach plenerów, sympozjów, spotkań w zakładach pracy są różnorakiego charakteru i rozgrywała się w wielu placówkach. Twórcą bowiem zostaje wprowadzony w świat i zagadnienia bliżej mu nie znane a stanowiące z drugiej strony fundament współczesnej cywilizacji. Zostaje wprowadzony w świat techniki, automatyzacji, w świat dla jednych wspólny i godny podziwu, dla innych groźny, niebezpieczny i niezrozumiały, ma możność zniknięcia się z ludźmi tworzącymi współczesną cywilizację techniczną i z całym, przobitym asortymentem nowych materiałów. Ma wreszcie okazję do przypatrzenia się bliżej i postępienia swojej wiedzy o pracy ludzkiej, która jest — mówiąc szczerze — w naszym społeczeństwie, a zwłaszcza wśród humanistów bardzo niepełna i powierzchowna. A przede wszystkim w naszym ustroju, winna ona interesować i inspirować najszersze kręgi inteligencji twórczej.

Zagadnienia związane z ludzką pracą, z jej wszystkimi aspektami natury społecznej, psychologicznej i fizjologicznej, z warunkami pracy, wobec szalonego postępu techniki i automatyzacji są dziś przedmiotem zainteresowania całego cywilizowanego świata. Jakże często, zwłaszcza wśród humanistów padają pytania: do czego doprowadzi świat postępu techniczny? Jak uchronić człowieka przed straszliwym molochem maszyn? Jakże są i jakie będą psychologiczne i społeczne skutki automatyzacji? Co zrobić z czasem wolnym od pracy? Gdzie i jakie jest miejsce w tym świecie techniki dla sztuki? Problem alienacji powstały w obszarze cywilizacji

technicznej jest problemem coraz bardziej istotnym. Do odpowiedzi na te pytania muszą się włączyć wszyscy, także artyści, także plastycy. Może właśnie plastycy w pierwszym rzędzie. Nie darmo określa się naszą cywilizację techniczną innym jeszcze mianem, mianem cywilizacji audio-wizualnej. Są w jej granicach ogromne rezerwy dla penetracji plastyka. Kształtowanie elementów języka ulicy, wnętrz lokali wystawowych i użytkowych, aktywizacja środków wizualnych działania nowoczesnej kolumny drukarskiej, całe niezmiernie tereny produkcji przemysłowej — wymienia przykłady pierwsze lepsze z brzesu. A biorąc udział w organizowaniu i w reżyserii tego gigantycznego teatru masowego, współczesnego wizualizmu, plastycy wykorzystują nie tylko zdobycze sztuk plastycznych XX wieku, ale muszą wykorzystywać także współczesną technikę, współczesną wiedzę o zamierzonym poruszaniu ludzkiej wyobraźni, wiedzę o kolorze, o kształcie. Artysta-plastyk staje się dziś twórcą i dysponentem nowoczesnych technik informacyjnych i wizualnych. Informuje, porządkuje i kształtuje elementy plastyczne — brzyły, płaszczyzny, kolor, światło — współczesnego świata.

I niestety, nie wystarczy tu znać się na farbach olejnych, umieć rozrabiać je na paletce, namalować krowę w pejzażu i z drzewkami. Trzeba czegoś więcej. Warsztat pracy plastyka rozszerzył się dziś niepomniernie. Musi on „pomieszkować” we wnętrzu nowoczesnej fabryki, tak jak kiedyś „mieszkał” w pejzażu. Musi poznać rozliczne związki i paralelizmy występujące w rozwoju techniki i sztuki. Musi spojrzeć na społeczeństwo — poprzez sztukę i szukać sztuki w obrębie samego społeczeństwa. Musi wreszcie poznać prawnie rządzące cywilizacją techniczną.

Pytam — czy można tego dokonać w czterech ścianach własnej pracowni? W ślepiach pejzażyku spośród kąpiących się nim? Poza sprawą poznania samych problemów dzisiejszej techniki i nauki i ich wzajemnych zależności i poza zaangażowaniem poprzez to poznanie pozostałe jeszcze ważki problem nowych twórców i nowych tematów. Biennale w Ełbiągu było tego najlepszym dowodem. Malarze zetknęli się tu z materiałem sobie nie znanym i z niespotykaną dotychczas skalą realizacji. Spotkali się także z nową metodą. Wynik ogólny okazał się wręcz imponujący. Korzyści z tych spot-

kań obopólne. Miasto otrzymało wysyrolę jedyną w swoim rodzaju, a mieszkańcy już dziś są z niego bardzo dumni (sic!). Przypomnijmy sobie plener łódzki malarzy w Działoszyń w roku ubiegłym, plener pod protektorem Cementowni „Waria”. Plener pleneru można było obejrzeć na wystawie. Ale jego wartość najistotniejsza leżała znów w innej płaszczyźnie — społecznej. Plastycy ofiarowali szkołom ponad 50 prac! Liczba niebagatelna. Pięćdziesiąt oryginalów, z którymi styka się codziennie wielu młodych ludzi! Pięćdziesiąt plenerów, które spełniają doniosłą rolę wychowawczą.

I jeszcze jeden ważki aspekt plenerów — żywy kontakt społeczeństwa z twórcami i z ich dziełami.

W tym roku plastycy Łódzcy dzięki staraniom Wydziału Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych, ZPAP i Zarządu Okręgowego Związku Zawodowego Metalowców wyjechali do Skiernewic. Program tego pleneru zaplanowano bardzo bogato. Jak będzie z jego realizacją — okaże się. Udośćniłone w każdym razie mają być malarzom duże obszary trzech patronujących zakładów przemysłowych: „Chemistału”, „Prozamet” i Zakładu Budowy Transzysiorów Radiowych „Zatra”. Udośćniłone mają być odpady metalowe rzeźbiarom. Zorganizowane mają być spotkania uczestników z krytykami i teoretykami sztuki z mieszkańcami Skiernewic. Wyjazdy do Nieborowa, Arkadii, Warszawy. Oczywiście, wystawa poplenerowa. Zresztą lodzianie plener rozspicili także wystawę. Przywieźli z sobą obrazy, powiesili w świetlicy „Chemistału” zaraz, pierwszego dnia. Przywieźli z sobą swoją najlepszą legitymację. Po Działoszyń. Skiernewice to coś nowego. To już wielka technika, to już bogatszy program. Nowe pytania i nowe problemy. Na razie za wczesnie na merytoryczną ocenę łódzkiego pleneru, ale malarze łódzcy myślą już o spotkaniach międzyrodzinkowych, ogólnopolskich. Jak to będzie wyglądało w realizacji — czas pokaże. Byłe nie przegapić okazji. Łódź jest miastem przemysłowym — potrzebuje plastyków zaangażowanych na serio w sprawy przemysłu, w problemy techniki, w problemy wielkiego miasta.

CHOCIAŻ rocznie wrzesniowa coraz bardziej „obrasła w lata”, zainteresowania społeczeństwa kampanią 1939 r. nie słabną. Dowodem, wciąż nowe pozycje książkowe, które szybko znikają z półek księgarskich.

Ludzie starsi sięgają po literaturę wojenną, odnawiają i korygują własne wspomnienia oraz przeżywa. Młodzi starają się znaleźć w pracach o okresie wojennym odpowiedź na natarczywe pytanie: „Jak to właściwie było?” Stąd chyba płynnie obrotom zainteresowanie właśnie młodych pracami publicystycznym Zbigniewa Żakuskiego („Siedem polskich grzechów głównych” i „Przepustka do historii”). Stały się one punktem wyjścia dla licznych dyskusji w środowisku studentów i młodej inteligencji.

„Literatura wrzesniowa” wydana w kraju tworzy dziś pokład biblioteczki. Znajdujemy tam powieści i opowiesci, pamiętniki, monografie bitew, opracowania działań poszczególnych armii; zwłaszcza ciekawą i ciekawą obroną stolicy stała się tematem wielu książek (Porwiti, Malinowski, Głowacki i inni).

Uderza brak syntetycznego opracowania całej kampanii wrzesniowej, gdyż książka Kirchmayera pt. „Kampania wrzesniowa” (wydana w 1946 r.) pisana pospiesznie, w oparciu o niewielką bazę źródłową nie może już od dawna zadowolić czytelnika, a stosunkowo krótkie zarysy umieszczone w publikacjach: „Z dzieł wojny wyzwoleniec narodu polskiego” i „Wojna zwycięstwa narodu polskiego” są wyczerpujące i jakkolwiek elementów polemicznych.

W „literaturze wrzesniowej” brakuje przede wszystkim opracowania pamiętniki i wspomnienia uzupełnione danymi z literatury, relacji i dokumentów. Warto przypomnieć, że pierwszym pamiętnikiem, mającym za źródło tylko ładunek własnych przeżyć była książka Łódzkiego literata Apoloniusza Zawilskiego pt. „Bateria została”. Dawała ona, wydaje się, że wierny obraz wyznika kampanii widzonego oczyma dowódcy baterii. Cenne, że autor przekazał w formie niezmiernie ciekawej i interesującej, ale niewłaściwie te sędy i wnioski. Jakże nasuwały się mu bezpośrednio w trakcie i po wydarzeniach. Ale musimy pamiętać, że Zawilski pisał tuż po wojnie i nie znalazł się jeszcze w zasięgu oddziaływania opracowań o charakterze syntetycznym. Od 1947 roku książka Zawilskiego była wznowiana bodaj trzykrotnie.

Obecnie „literatura wrzesniowa” prezentuje nową formę publikacji — pamiętniki zbeletryzowane. „Szerzgowi” uczestnicy kampanii w oparciu o jakies dawne notatki, a przede wszystkim czerpiąc z bogatej już dziś literatury historycznej, rekonstruują swój udział w wydarzeniach. Lektura, to na pewno ciekawa i przyjemna, ale nie dla zawodowego historyka. Rzeczywistość spłata się na kartach tego rodzaju książek z elementami fantazji autorskiej (zwłaszcza rekonstruowane dialogi), a wydarzenia i fakty jakże często są przeniesione w inne warunki i okoliczności.

Czytelnik przeważnie wierzy autorowi, co daje powód do licznych kontrowersji w czasie dyskusji po odczytach ściśle historycznych, a nawet prowadzi do „nieporozumień” na egzaminach uniwersyteckich.

Tego rodzaju „literatura” nakłada na nasze wydawnictwa dodatkowe obowiązki podania komentarza i zorientowania czytelnika o charakterze publikacji. Niestety, najczęściej pozostawia się czytelnika samemu sobie.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

LITERATURA WRZEŚNIA (W rocznicę wybuchu wojny)

Właśnie do tej kategorii publikacji należy zaliczyć książkę Tadeusza Witowieckiego pt. „Tu mówi żelazo” wydana niedawno przez „Wydawnictwo Łódzkie”. Autor, podchorąży rezerwy 86 pp. ukończył studia ekonomiczne. W latach 1936-1939 ogłosił szereg noweli i opowiadań. Wraz ze swoim pułkiem znalazł się w zgrupowaniu odwodowym „Prusy” i brał udział w obronie Piotrkowa Trybunalskiego.

Ramy chronologiczne książki są bardzo wąskie. Obejmują okres od 21. VIII.1939 do 9.IX.1939 r. czyli do chwili, gdy wraz z grupą niedobitków Armii „Prusy” przeprawił się Witowiecki przez Wisłę. Jak zażnacza Wydawnictwo „Jest to pierwsza pozycja książkowa autora po wojnie”, a więc po dwudziestu kilku latach „młoczenia”.

Sygnali z „Domu Książki” pozwalają na sformułowanie: „książka chwyciła”. Można w tej sytuacji chyba mówić o „powrotnym debiucie” i to u danym. Autor potrafi zaciekać czytelnika doborem interesujących epizodów przebiegających żywymi, niezasztywnymi dialogami tworzącymi zwarta akcje, która pozwala śledzić wojenne losy plutonu podchorążego Piotrowicza. Przedstawiane sytuacje są podobne, typowe, może nawet zbyt typowe dla tego, co widać w tej sytuacji chwyciła, ale są podane w specyficznej oprawie warunków, w jakich znalazła się Armia „Prusy”, jedyna z armii polskich mająca przeciwko sobie prawie wyłącznie masę pancerno-motorową.

Badz co bądź, trzy polskie dywizje piechoty i jedna brygada kawalerii walczyły z dwoma dywizjami pancernymi, dywizją lekką i pewną liczbą pododdziałów piechoty dowożonych na linie walk ciężarówkami i autobusami. Przewaga ogniewa nieprzwykła była miążdząca, a na dodatek poparta silnym działaniem lotnictwa, któremu strona polska nie mogła przeciwstawić ani własnych maszyn, ani dostatecznego ognia zentówek. Przy ocenie działań w rejonie Kolušek — Sulejowa — Piotrkowa — Tomaszowa, stosunek sił i środków stron trzeba mieć stale na uwadze.

Kompozyta książki Witowieckiego jest niebanalna, godna naśladowstwa. Snuje on równoległe dwa wątki: własne wspomnienia podawane w formie zbeletryzowanej opowieści i skróty opisu zadań oraz szczegółowy udział Armii „Prusy”. O ile Witowiecki pamiętnikarz i beletrysta zdaje egzamin niemal celując, o tyle Witowiecki historyk sprawia czytelnikowi zawód.

Powyrwane z kontekstu londyńskiego wydania „Polskich Sił Zbrojnych w drugiej wojnie światowej” urywki, dotyczące użycia Armii „Prusy” według zamiarów naczelnego dowództwa. Tymczasem autor rozpatruje je jako wypowiedzi w życie rozkaz naczelnego dowództwa. Sytuacja wojenna okazała się zupełnie inna. Armia odwodowa miała składać się z dwu zgrupowań: jednego w rejonie Kolušek — Tomaszów —

Piotrków; drugiego w okolicach Kielc i Skarżyska Kamiennej. Dzięki dużemu wysiłkowi fizycznemu żołnierzy, jako tako udało się skoncentrować tylko zgrupowanie północne, które musiało podjąć nierówną walkę z niemieckimi siłami pancernymi. Czy akcja zaczepna zamierzana z lasów Lubień miała widoki powodzenia? Bardzo wątpliwe. Rzecz należy przypuszczać (wbrew twierdzeniom Witowieckiego), że Wileńska Brygada Kawalerii została tak samo szybko rozczłobana przez czołgi, jak to miało miejsce o dzień później z 13 dywizji piechoty w rejonie Tomaszowa. Powojenne hipotezy autora, co do celowości takiej akcji są więcej niż zawadne.

Nieporozumieniem jest powtarzanie przez Witowieckiego tezę generała Rómmla o njechęci do interweniowania na rzecz Armii „Łódź” dowódców Armii „Prusy” i „Poznań”. Kunktorstwo generałów Kutrzeby i Deba Biernackiego stało się, jakoby przyczyną klęski Armii „Łódź”. A przecież ta teza, wygodna dla generała Rómmla, już dawno została obalona.

Szkoda, że Witowiecki nie przeczytał polemicznych uwag, jakie zrodziły się w związku z opublikowaniem książki „Za honor i ojczyznę”. Uwag Kirchmayera, Cwierdzińskiego i innych podpisanych nie należy po prostu bagatelizować. Tym bardziej, że również i na zachodzie wywody generała Rómmla spotkały się z ostrą odprawą ze strony jego szefa sztabu pułkownika Praszłowskiego.

Drobnych, merytorycznych potknięć można wyłowić znacznie więcej z omawianej książki. Jednakże nie mają one żadnego znaczenia dla krytycznego obrazu. Uczulę, że amasowanie autora zwłaszcza w opisie walk o Piotrków, jeśli nawet frzeszy pewną przesadą, to wynagradza czytelnika nader sugestywnym przedstawieniem wypadków.

Dziele kampanii wrzesniowej na obszarze województwa łódzkiego wzbogaciły się o jeszcze jedną pozycję książkową, która będzie miała (a może już ma) swoich entuzjastów. Ponieważ obecnie ukazuje się coraz więcej wspomnień — opowieści (np. „Odwroty” Andrzeja Zbyszewskiego) warto wprowadzić jako regule wydawniczą „Casus” Witowieckiego, to znaczy dodanie komentarza historycznego do narracji uczestnika. Przedstawiany wycinek ówczesnej rzeczywistości o charakterze wspomnieliowym na pewno zyska, jeśli będzie umieszczonej na tle działań wojennych, jeśli już nie całego frontu. Lecz do tego konieczna jest pomoc zawodowego historyka.

Każda kolejna rocznica wybuchu wojny wzbogaca „literaturę wrzesniową” o nowe pozycje. W rejestrze 1966 roku należy odnotować jako szczególnie godne uwagi: Tadeusza Witowieckiego — „Tu mówi żelazo”, Andrzeja Zbyszewskiego — „Odwroty”, oraz zarys kampanii w pracy zbiorowej „Wojna wyzwolenca narodu polskiego”.

TADEUSZ GIGIER

„...ŻONĘ POZNAŁEM W KOMISARIACIE”

Najpierw otrzymałem Est. Koperta adresowana zamazystym, mało czytelnym piśmem, które wydało mi się znane. W nagłówku miejscowość i data: Wilkołek Grójecki, dnia 19. 4. 66 r. Już ten nagłówek upewnił, że pisze do mnie stary znajomy. Przypomniał się i zaraz wprowadzał mnie w swoje aktualne kłopoty: „Posadzono mnie o kradzież sromy i węgla, które wcale nie było, i za to Sąd Powiatowy w Sieradzu skazał mnie na pół roku więzienia z zawieszeniem na dwa lata. Taką samą karę dostała moja żona, Lisowa, bo to ona nas zawsze oskarża, to wszędzie ma chody i wszystko jej wierz, bo pieniądze ma do diabła i stać ją, by świadków kupić a przeciwnie wiadomo, że dziś wszystko na świadkach polega. Wystarczy takiemu świadkowi dobrze zapłacić, a on „było nie było”, to powie w Sądzie, że tak było i koniec. Teraz dla 17 czerwca miałem z nią sprawę o to, że tamtego roku posadziła mnie o kradzież żyta, a posiadzenie to było złotliwe i za to powinna ta Lisowa być ukarana, to w Sądzie powiedzieli, że „każdemu wolno drugiego podejrzewać” i została ta Pani uniewinniona, no i rzecz oczywista będzie dalej robić to samo, bo jeśli za kłamstwo nie grozi jej żadna kara, to będzie robić to samo”.

Po przeczytaniu listu pomyślałem, że idzie tu zapewne o typowe porachunki sąsiedzkie na wsi. Następne dwa listy, które dostałem od znajomego, zdawały się to potwierdzać.

W liście opatrzonym datą 9. 5. 66 r. zna-



Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

omy donosił mi co następuje: „Niedawno był tu mój „prześlawca”, niejaki Lis, i powiedział mi na przywitanie, że „zgnidę pod jego progiem”. Nie wiem co to ma znaczyć, być może, że ma zamiar mnie zastrzelić, bo posiada broń palną. Nie może patrzeć, że my tu mieszkamy, a przecież podczas okupacji rodzice jego wyrzucili nas z gospodarstwa i wcale się ojca nie pytali, czy się zgadza czy nie”.

List z dnia 18. 6. 66 r. zawierał bardziej jeszcze niepokojące wiadomości: „Ostatnio otrzymałem wezwanie do zapłacenia ziętych 350 i żona to samo, jeśli nie zapłacimy, to pójdziemy siedzieć” i tylko nie wiemy, za co. Za to chyba że sromę wyrzuciliem z komórki, gdzie były moje rzeczy i gdzie komornik chyba nie miał prawa podczas naszej nieobecności wyrzucać nam tego wszystkiego, a jeśli wyrzucił z komórki, to również mógł wyrzucić z mieszkania i byłby koniec”. List ten kończył się rymowaną apostrofa, skierowaną pod moim adresem:

„Spraw by mnie przestaly gnębić tu rodzime władze, sekretarze, wójt — sam nie nie poradzę, by mnie nie straszły już więzienne kraty, bym się czuł szczęśliwy jak kiedyś — przed laty”.

Apostrofa ta, jak łatwo się domyślić, wprowadziła mnie w zakłopotanie. Po pierwsze: nie uważam się za wszechwładnego;

a po drugie: nie przypuszczam, aby interwencja prasowa pomogła memu znajomemu w jego kłopotach. Więc jak mam mu przywrócić to błogie samopoczucie sprzed lat?

By ostudzić sobie gorzką świadomość bezsłły, zacząłem się pocieszać, że mój znajomy nie był znów i dawniej tak bardzo szczęśliwy, jak mu się to teraz wydaje. Poznaliśmy się wiosną 1953 roku, kiedy to — zgodnie z duchem czasu — pojechałem do gminnej świetlicy w Unikowie, by objąć nad nią patronat. Józef Wydrzyński przyszedł tam ze swojej wsi, by porozmawiać o... współczesnej poezji. Byłem zaskoczony, tym bardziej, że na udokumentowanie swych długoletnich zainteresowań poezją pokazał mi listy od Staffa i Tuwima. Nie wiele dowiedziałem się wówczas o jego sytuacji rodzinnej i współżył z sąsiadami, choć z pewnych niedomówień mogłem wywnioskować, że nie układają się one idealnie. Po prostu: nie miał z sąsiadami wspólnego języka, gdyż jego zamiatowania traktowali jako przejaw małego „szmergla”.

Wiem, że wyjechał później do Wrocławia, otrzymałem stamtąd kilka listów. Nasz kontakt urwał się po jakimś czasie. I nagle, po dwunastu latach, ta alarmująca korespondencja.

Postanowiłem pojechać do Wilkołka, jak tylko uporam się z najpilniejszymi zajęciami. Żanim to jednak nastąpiło, mój znajomy złożył mi wizytę w Łodzi. A raczej rewizytę, jeśli wziąć pod uwagę moją podróż z maja 1953 roku.

Prawie nie zmienił się przez te lata. Ta sama szcuple, surowa, chłopiska twarz — i ten sam kłocący się z nią inteligentni sposób formułowania myśli. Chociaż, czy istotnie kłocący się? Przypomniałem sobie, że nie tak dawno, w pewnym klubie — kawiarni na tzw. zapadłej wsi, domagano się ode mnie przekazania kolegom z radia uwagi, że chłopie nie mówią już takim językiem

jak dawniej i dlatego mają poważne zastrzeżenia do audycji „W Jezioranach”. Po za tym zaś nie lubią, gdy nazywa się ich chłopami. Oni są po prostu jak inni ludzie pracy, z tą tylko różnicą, że zajmują się rolnictwem. Dlatego proszą, by nazywać ich rolnikami.

Przy poczęstunku mój znajomy stwierdził, że nie należy przeciążać żołądka, bo to źle wpływa na wydolność umysłową. Zorientowałem się, że ta doradza filozofia ma bardzo rzeczone podłoże: znajomy utrzymuje się z żoną ze skromnej renty, a okresy względnej prosperity przeżywa tylko wtedy, gdy w lasach obrodzą grzyby, jagody i borowiki.

Rzecz jasna, wróciłem w rozmowie do momentu naszego poznania. „O, wtedy byłem jeszcze kawalerem. A wie pan, jak doszło do żeniactwa? Kolega miał narzeczoną w Muszynie, i zaczął swatać mnie z jej koleżanką. Napisał mi, że to dobra dziewczyna, robotna, może tylko trochę nierówna. Zaczęliśmy ze sobą korespondować, wymienialiśmy zdjęcia. A potem pojechałem do Muszyny, żeby się z nią poznać osobiście. No i poznaliśmy się — na postrońku MO. Nie wzięłem ze sobą dowodu i zatrzymano mnie, jako podejrzanego. Było to wiosną 1954 roku, w latach wzmrożonej czujności. Podałem nazwisko i adres sympatii. Więc sprowadzono ją, żeby mnie „zidentyfikować”. Na pożegnanie komendant posterunku powiedział, że będziemy mieli ciężkie życie, bo poznaliśmy się na komisariacie”.

Pan Józef uśmiechnął się, ale trochę bez przekonania. „Żona przypomina mi to czasem. Nie dziwie się, ma ze mną trzy światy. To przecież ja wpakowałem ją w tę całą kabałę...”

„W jaką kabałę?” „Ano, solidną, ale to trzeba by zacząć od początku. Gdy moi rodzice przybyli do Wilkołka Grójeckiego, miałem trzy lata. Ojciec kupił tam 10-morgowe gospodarstwo.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

Wojewódzki Instytut Literacki w Łodzi. W tle: Tadeusz Gicgier i jego żona Lisowa.

MARIA KORNATOWSKA

„I CZWÓRKAMI DO NIEBA SZLI...”

Stoneczny, sierpniowy dzień. Podwarszawskie miejscowości pełne są letników, wczasowiczów, matek z dziećmi i zakochanych par. W Rembertowie kto żyw idzie się opałać, albo na spacer do lasu. I nagle w tę ciszę wdziera się dźwięk strzałowy karabinowych, huk pocisków. Spokój przyska. Las napienia się dymem i prochem. Miejsce zakochanych zajmują żołnierze, brudni, okryci pyłem. Na rogatywkach — srebrne orzelki z koroną. Czyżby czas cofnął się o 27 lat, kiedy to w słoneczną, złotą polską jesień wtargnęła niespodziewanie i okrutnie wojna?

Czas cofnął się rzeczywiście, ale na szczęście, tylko na małej przestrzeni rembertowskich lasów, gdzie ekipa naszych filmowców pod wodzą Stanisława Różewicza, próbuje wskrzesić obraz i prawdę tamtych wczesniowych dni. Tytuł filmu — „Westerplatte”. Scenariusz w oparciu o autentyczne relacje uczestników walki napisał Jan Józef Szczepański. Operatorem jest twórca zdjęć m. in. do „Matki Joanny od Aniołów” i „Faraona” — Jerzy Wójcik. Kierownik produkcji — Włodzisław Sliwinski. W filmie występuje około 90 aktorów m. in.: Zygmunt Hubner, młody aktor z Krakowa Bazar, M. Milecki, J. Naberzack, T. Szmidt, B. Bilewski, Zaorski i inni. Obsada wyłącznie męska, bowiem na ekranie nie pojawił się żaden kobieta.

„Westerplatte” jest filmem nie tylko męskim, ale i wybitnie plenerowym. Dwie trzecie akcji toczy się w plenerze. Około 10—15 proc. zdjęć nakręcono nad morzem. Ale niestety, okazało się, że od 1939 roku półwysp Westerplatte zmienił się nie do poznania. Już od dłuższego czasu zadomowiła się tam Stocznia Gdańska. Zniszczenia uległy bujny ogień drzewostan półwyspu. Okazało się, że lasy rembertowskie bardzo przy pominięciu założenia charakterystyczne dla ówczesnego Westerplatte. I dlatego znaczna część filmu powstaje właśnie w Rembertowie, gdzie nie ca widac światła Palacu Kultury zamiast blasku morskiej latarni.

W rembertowskim lesie odтворzono z drobiazgową dokładnością (w oparciu o odpowiednią dokumentację ikonograficzną) zabudowania dawnego Westerplatte — koszar, wartownię, wille oficerską itd. Przed koszarami nowa dumnie biało-czerwona flaga.

Konsultantami filmu są między innymi byli uczestnicy walk o Westerplatte: Piotrowski, Gawlicki i inni. Pięciu, żeby wszystko było tak jak wtedy, w pamiętnym wrześniu. Było ich 182 żołnierzy. Siła jednej kompanii

piechoty, broniącej zgodnie z postanowieniami 1924 roku polskiej składowicy tranzytowej w Wolnym Mieście Gdańsku. Mieli do dyspozycji tylko jedną armatę. Otrzymał rozkaz brojenia składowicy przez 6 godzin, potem przez 12. Bronił jej 7 dni. Stosunek sił układał się jak 1:20 na korzyść Niemców, ale stosunek strat był odwrotny. Poległo 15 członków załogi. Warunki walki były wyjątkowo ciężkie. Brakowało wody. Ludzie padali z niewypaństwa i zmęczenia, ale nie było komu zastąpić ich na posterunku. W momencie kapitulacji około 40 proc. członków załogi stanowią ranni. Stan ich był niekiedy ciężki, a nie dysponowano odpowiednimi środkami medycznymi. Po dwóch dniach walki przez wały się łączyły ze sztabem armii i resztą kraju. Załoga zdana była wyłącznie na nasłuch radiowy. Właściwie tylko oficerowie wiedzieli, jak wygląda sytuacja w głębi Polski. Reszta załogi żywiła jeszcze nadzieję na możliwość nadejścia odsieczy. Byli to żołnierze nie tylko odważni i bohaterzy, ale znakomici i mądre walczący, o czym świadczy chociażby stosunkowo niski procent strat własnych.

Bili się broniąc nie tyle twierdzący symbolu Polski i pozostali w okresie długiej nocy wojennej symbolem nieustraszonego oporu, siły duchowej i moralnej. Znaczenie moralne obrony Westerplatte było ogromne. Zdając sobie sprawę z beznadziejności dalszej walki na tle ogólnej sytuacji w kraju, mając na względzie życie i zdrowie powierzone mu żołnierzy, rozsądny i doświadczony mjr Sucharski (w filmie gra go Hubner), dowódca placówki podpisał akt kapitulacji. Uważał, że żywi ludzie są zawsze bardziej potrzebni i użyteczni niż martwi bohaterowie. Decyzja taka nie przyszła jednak łatwo. Część załogi chciała bić się do ostatniej kropli krwi. Na jej czele stał zastępca komendanta, młody, heroicznie brawurowy, kpt. Dąbrowski (gra go Bazar). Dąbrowskiemu kapitulacja wydawała się hańbą nie do zniesienia, skaza na honorze polskiego żołnierza.

Czy należało rzeczywiście walczyć do ostatniej kropli krwi? Czy postawiony na posterunku żołnierz winien trwać na nim do końca, bez względu na okoliczności? Czy tak duża obrona Westerplatte miała w ówczesnych warunkach sens? Czy mówiąc słowami niemieckiego oficera Henke — warto było bronić się tak długo? Czy była to bohaterstwo, czy zwykły, żołnierski, obywatelski obowiązek?

Oto pytania, jakie możemy sobie dziś stawiać, spokojni

i bezpieczni, pod słonecznym, jesiennym niebem, w cieniu czerwonych jarzabin. Pytania trudne i niepokojące. Te pytania postawili sobie m. in. twórcy filmu i spróbowali poddać je pod rozwagę widzowi.

Stanisław Różewicz, autor m. in.: „Miejsca na ziemi”, „Świadekta urodzenia”, „Echa”, „Poczty Gdańskiej”, „Głosu z tamtego świata” itd. jest zresztą w naszym filmie specjalistą od tematów trudnych i nieefektywnych. Stara się je ukazać w ten sposób, by nie ujął nic z ich złożoności i wieloznaczności. Gromadzi dla widza materiał myślowy i przedstawia go w sposób, jak na nasze obyczaje, niezwykle rzetelny. Rozwiązania, wnioski, pozostawia widzowi. Filmy Różewicza są proste, pozbawione kunstrowych metafor i symboli, modnych smaczków i chwytów. Każą myśleć. Wychodzą z nich mądrzejsi, bogatsi o jakąś cząstkę wiedzy o nas samych i naszych bliźnich. Nie przystoi wystawiać laurek na gazetowym papierze, warto jednak podkreślić, że Różewicz należy do tych nielicznych indywidualności w polskim filmie, które mają naprawdę coś do powiedzenia, i starają się nam to powiedzieć.

„Westerplatte” jak już zdążyliśmy zorientować się należy do kategorii filmów trudnych. Tym bardziej, że wokół jego dzieł, tak, jak choćby wokół Monte Cassino, narosła już legenda. Tym bardziej że reżyser nie chce aby było to jeszcze jedno dzieło z pirotechnicznej serii wojennej, ale film o ludziach, ich strachu, odwadze, nadziei, niepewności, oczekiwaniu. Ludzie interesują go najbardziej, choć oczywiście, nie bez względu na okoliczności, nie obojętnej porcji pirotechniki.

Różewicz chce pokazać codzienność walki, stawianie się tego co ludzie później nazywają heroizmem. „Chce zrobić — jak to ładnie powiedział, film o trudzie bohaterstwa.

Albowiem na Westerplatte, bohaterstwo było szczególnie mało efektowne, odarte z blasku i urody. Szare, codzienne, mozolne, uparte.

Akcja filmu rozpoczyna się 31 sierpnia, ostatniego dnia pokoju, kiedy do Westerplatte przyjeżdża na inspekcję ppłk Sopoćniński i kończy się w momencie kapitulacji, ani przez chwilę nie wykraczając poza teren półwyspu. Żadnych retrospekcji, żadnych lirycznych wątków osobistych. Film będzie relacją — mówi Stanisław Różewicz, relacją z 7 dni obrony. Relacja faktów i scen mających dla tejże obrony znaczenie wczelowe. Fakty i postacie są autentyczne. Nawet niektóre dialogi zaczerpnięte zostały

ze wspomnień uczestników walk. Autentyczny jest też konflikt między mjr Sucharskim i kpt Dąbrowskim, konflikt dotyczący dylematu: bić się albo nie bić. Twórcy filmu nie chcą narzucać widzowi swojej oceny wydarzeń. Zresztą wszelka jednoznaczna ocena, jest tu, uczucie mówiąca — niemożliwa i krzywdząca. Twórcem filmu zależy na rzetelnym zrelacjonowaniu faktów, po to by skłonić widza do powtórzonego przemyślenia tego, co dotychczas stanowiło gotowy kamyczek w mozaice narodowej mitologii. A nadto chcą oddać hold żołnierskiemu, obywatelskiemu trudowi obrońców Westerplatte, hold ich odwadze i hold ich umiejętności walczenia. Hold ludzki serdeczny i niepatetyczny. Westerplatte — to kopalnia problemów, mówi reżyser. Problemów różnorodnych i niełatwych.

Z drugiej strony film jest trudny w samej realizacji, trudny jako materiał. Nie posiada jakiejś zewnętrznej linii dramaturgicznej, linii narastającego napięcia akcji. Dramatyzm tkwi w samej sytuacji, materii przedstawianych wydarzeń. Nie ma właściwie głównych bohaterów. Bohaterem jest cała załoga. Poszczególne postacie wprowadzone są równoległe w zależności od ich roli w walce. Niektóre pojawiają się i znikają, by już więcej nie powrócić na ekran. Tak jak to bywa na wojnie — dopowiada reżyser. Dialogi są bardzo oszczędne. Mówi obraz. Brak wątków prywatnych. Dużo scen batalistycznych, niełatwych do realizacji. Film ciężki dla aktorów, bo powinni, jak najmniej grać, a przede wszystkim być (nie mówiąc już o trudnych warunkach pracy). By uzyskać większą surowość, większy autentyzm, Różewicz wybrał aktorów mało zgranych, kierując się często fizycznym podobieństwem postaci i aktora. I tak np. Zygmunt Hubner przypomina swym wyglądem mjr Sucharskiego. Czasem podobieństwo fizyczne pociąga za sobą podobieństwo psychiczne. Film będzie czarno-biały, panoramiczny. Koncepcja zdjęć — surowa, dokumentalna. Włączono zostaną autentyczne materiały kronikarskie — pancernik „Schleswig-Holstein” ostrzeliwujący Westerplatte.

Zdjęcia plenerowe potrząsają gdzieś do połowy września. Następnie ekipa przeniesie się do Łódzkiej przystani, gdzie nakręcone zostaną wnętrza. Film ukaże się więc z początkiem przyszłego roku.

Trudno jest mówić twórcą o filmie, który powstaje, który rodzi się w wielkim codziennym trudzie, dzięki ogromnemu wysiłkowi całej ekipy, który żyje nie jako własnym życiem, czasem na przekór temu, co by się chciało powiedzieć. Dopiero ekran pokaże nam jego skończony, właściwy kształt. I dopiero wówczas będziemy w stanie ocenić, czy jest on godny sprawy, o której mówi.

KRONIKA Anty telewizyjna

KOLUMBOWIE

Kłopot z tą inscenizacją powieści Romana Bratnego „Kolumbowie rocznik 20”. Adam Hanuszkiewicz nie miał właściwie żadnych wątpliwości, gdy wypowiadał swoje słowo wstępne. Przede wszystkim, miał jedno istotne zastrzeżenie: na pełne przedstawienie tamtego spłotu spraw jest jeszcze za wcześnie, jeszcze nie ma się odpowiedniego dystansu.

Myślę, że cały dramat powstania warszawskiego i pierwszych lat powojennych należy rozpatrywać wszechstronnie, szukając jego zaczątków w dalszej przeszłości. To nie było starcie się ślepoty czy krótkowzroczności, osobistych ambicji i pomysłów z ideą i konsekwentnymi jej przedstawicielami. To było tak czy inaczej starcie się idei z ideą, mitów z mitami, Czegoś, co z różnych przyczyn i na skutek układu okoliczności musiało odejść z cymys, co nadchodziło i zwyciężało. W dodatku warto pamiętać o słowach Norwida: „Dzieje stoją więcej na tem, co się mimo ludzi stawa, niż co oni z własną świadomością dokonali”

Pełna i głęboka dramatyzacja może przemówić wtedy, gdy obie strony obdarza się racjami tego samego mniej więcej rzędu. I tak bowiem racja ostateczna obdarza zwyciężczych. Na tym, pomijając walory wynikające z wielkiego artyzmu, polega na przykład wielkość „Cichego Donu”. W tej powieści nie znajdziemy nic z paszkwilu, nie z pamphletu, jest za to wiele żalu i współczucia choć by nie wyrażonego bezpośrednio. Carsey generalowie, Jurdenicz, czy Aleksiejew, bywają wzniośli.

Bratnemu chodziło tylko, chociaż nie wyłącznie, o dramata młodych ludzi, urodzonych w roku 1920, ich sprawy w powieści pokazał na szerszym tle. Wobec tego wróćmy do przedstawienia Teatru Powszechnego. Pierwszy kłopot jest natury formalnej: czy można je zaliczyć — wzbogacone o dokumenty filmowe i dokrętki — do festiwalu sztuk teatralnych? Nie bardzo. To był eksperyment w najlepszym tego słowa znaczeniu. Otrzymałmy utwor telewizyjny, „nowy rodzaj sztuki. Drugi kłopot to odpowiedź na pytanie, czy udany. Myślę, że nieudany. Czegoś było za dużo, chyba jednak tła własnego, w którym zanikali bo-

haterzy dramatu. Tła było ponad konieczność artystyczną. A kłopot trzeci, to odpowiedź na pytanie, czy „Kolumbowie” byli zrozumiani, mieli swoją autonomię. Obserwując reakcje paru młodych widzów z rocznika powojennego 1948 r. doszedłem do wniosku, że raczej nie. Bez większej wiedzy własnej widzów o ówczesnym czasie „Kolumbowie” byli za mało czytelnymi. Inaczej niż w powieści. Może był potrzebny inny wstęp niż Adama Hanuszkiewicza? Ale czy tylko to?

A jednak „Kolumbowie” Bratnego — Hanuszkiewicza oceniamy jako ważne wydarzenie dramaturgii właśnie telewizyjnej.

Wreszcie szeroko reklamowany „Sopot 1966”. O jego pokłosiu będzie się szeroko rozpisywać prasa, a prawda o festiwalu pojawi się raczej w późniejszych czyichś reflexjach, niż w bieżących relacjach. Zupewnie nie czuję się powołany do oceniania tego rodzaju imprez, choć lubię powolany do oceniania tego rodzaju imprez, choć lubię odbiorem radiowym. Jeśli chodzi o dzień pierwszy, to uderzała monotonia tematu, nieliczni piosenkarze wymiłowali się z reguły: piosenkarka z Monako śpiewała o Szopenie, choć związek piosenki z Szopenem wydawał się wyjątkowo wątpliwy. Duńczyk (oryginalny występ ze skrzypcami) właśnie o sobie i skrzypcach. Najbardziej



podobala mi się Greczyńska (wykonanie i piosenka). Irlandka (oryginalna uroda, głos, Kanadyjka („Mam czarna skórę”), piosenki „Boże, jak ja cię Kocham” i nasza „Powróć się tu”. Z przyjemnością należałoby pokwitować urozmaiconą melodyjność i liryczność, obywało się bez wrzasków i pseudodramatyzności.

Drugi dzień poświęcono interpretacji polskiej piosenki przełumaczonej, a raczej „zadaptowanej”. I oto ta polska piosenka, której co jakiś czas tyle się zarzuca, zabrzmiiała w wielu wypadkach jakże wabiano. Mogły na to wpłynąć dwa momenty: w obcych językach wszystko bardziej intriguje, wykoranie, wykonanie!

Zapowiadania uczyła się p. Renata Mauro, osiagając chwilami niezłe rezultaty.

Jan Huszczyński

Niewiele z niego miał, ziemia była li-chutka. Ale siedzieli na własnym, to ich trzymało.

W roku 1940 Niemcy wysiedlili nas do sąsiedniej wsi. Nasze gospodarstwo i kilka innych zajęła Lisowa, której kuzyn był sekretarzem u komisarza niemieckiego. Komisarz sprawował nadzór nad Wilkołkiem, a ona została panią Landwirtin. W trzy lata później ojciec umarł. Zagryzł się ze zmartwienia, nie mógł przeboleć, że kuzynka wyrzuciła mu taką krzywdę.

W roku 1945 wrócił na swoje. I teraz zaczęła się moja bieda, której wtedy nie przeczuwałem. Pracowałem w Gminie, gdy nastala „społeczna klasyfikacja gruntów”. Jeździliśmy we dwóch i przeprowadzaliśmy klasyfikację. Szacowaliśmy na przykład użytki na 5 hektarów, a referentki robiły z tego 7 albo 10, według opracowanego ogólnie rozdzelnika. Pan się domyśla, jak to działało na gospodarzy. No, bo zwiększone podatki, odstawy i inne świadczenia. I chociaż potem przyszła prawdziwa klasyfikacja, nienawidzi do mnie została. Ja jeździłem i spisywałem, więc ja jestem winien.

Historię mojego ożenku pan już zna. Przywożem żonę do siebie, ale na gospodarce siedzieliśmy razem z siostrą i jej mężem. Ziemia nie dawała wiele, więc pojechałem z żoną na sezon do cukrowal. Gdy wróciłem, szwagier zamknął przed nami drzwi. Zresztą i tak już nie było gdzie mieszkać, szwagier wyniósł nasze łóżka na strych, a mieszkanie zamienił przeziornie na obór. Trzeba było się procesować. Sąd w Sieradzu przyznał nam splate, ale potem ją cofnął, bo nie uznał mnie za rolnika. Ze niby jestem urzędnikiem, chociaż w gminie nie pracowałem już od czterech lat. Wtedy właśnie wyjechał z żoną do Wrocławia.

Nie powiem żeby nam się tam poszczęściło. Pracowałem jakiś czas w magazynach chemicznych, póki nie nabawiłem się ostrego zapalenia nerek i nie osłabiłem sobie

wzroku. Komisja lekarska uznała mnie za niezdolnego do tej pracy i przyznała mi rentę trzeciej grupy, ta renta jest teraz cała naszą podpora.

Powróciliśmy do Wilkołki, i wtedy Lisowa przyjęła nas do swego domu. Widocznie ruszyły ją wyrzuty sumienia za tę okupację, no a poza tym nie miał u niej kto robić, bo sama przenosiła się do Krosna, do syna który jest na posiadzie. Obrabialiśmy jej gospodarstwo od maja do października, ale nie nam za to nie zapłaciła. Więc poniosły mnie nerwy i wystąpiłem do sądu. Lisowa wszystkim zaprzeczyła, a do tego urobiła sobie jeszcze świadków, co nie przyszło jej trudno, bo ludzie nie mogą mi darować, że byłem kiedyś „klasyfikatorem”. Zeznał, że nie widział, abymy pracowali na gospodarce, chociaż na tamten czas przypadły żniwa i inne roboty polowe. Sad oddał nam skargę i jeszcze zaszadził nam kosztów adwokata Lisowej. Na tym nie koniec. Lisowa poczuła się dotknięta i poprzysięgła nam zemstę. Najpierw pomówiła mnie o kradzież węgla i sromy, która była w komórce, gdzie trzymamy część naszych rzeczy. Nie mamy gdzie ich trzymać, bo sami gnieździemy się w małych kłitce przy oborze Lisowej. Komornik wykamłował nas z komórki, a gdy wstawiliśmy tam z powrotem nasze rzeczy, Lisowa oskarżyła nas o włamanie i o następną kradzież. Na wszystko znalazła świadków, więc jej uwierzono. Tak zostałem najpierw złodziejem, potem recydywistą, a na koniec wariatem. Ostatnio powiedziano mi na milicji, że jeszcze jedna skarga ze strony Lisowej, a zostanie zabrany do Warty, do domu wariatów. I wie pan, ona na pewno znajdzie na to świadków, że jestem omylowy.

Pan Józef przerwał zwierzenia, i wskazując na stojak z gazetami zapytał, czy nie ma tam jakichś niepotrzebnych tygodników, bo on by je sobie chętnie pozyczył. Powiedziałem, że zaraz coś mu wyszukam, ale najpierw chciałbym go o coś zapytać:

czy widzi jakieś wyjście ze swej życiowej sytuacji?

„Wyjście jest, i to nie jedno, mógłbym chyba przydać się w jakiejś klubo-kawiarni „Ruchu”, mógłbym też pracować w GS gdzie od wiosny leży moje podanie o pracę, ale nie otrzymałem dotąd odpowiedzi. Mógłbym również zająć się gospodarstwem, gdyby się okazało, że Lisowa ma zamiar zostać na stałe u syna.

Niechby oszacowano to gospodarstwo, niechby przyznano mi pożyczkę, a na pewno bym wszystko spłacił i znalazł z żoną środki do życia. W sadzie spytałem mnie, co wyjeżdżałem z żoną — i odmówili mi wszelkich praw do rodzimej gospodarki. Lisowa wyjechała sześć lat temu, dlaczego więc jej się tak nie powie? A poza tym należy mi się coś chyba za cztery lata wojny, gdy ona „zarządzała” naszą ziemią i ciągnęła z niej zyski. Należy mi się coś za śmierć ojca, bo gdyby ojciec wtedy nie umarł, na pewno ja ukończyłbym do wojny jakieś szkoły i dzisiaj mógłbym jakoś urządzić sobie życie”.

Oto problem godny Salomona, nie wiem, czy podoba mu któryś z naszych sądów powiatowych. Trudno zresztą wymagać od sądu, by sięgał do tak odległych w czasie i tak skomplikowanych przyczyn wydarzeń. W sądach zwykło się rozpatrywać skutki. Józef Wydrzyński upraszcza wiele spraw, czy jednak nie upraszcza ich również czasem Wymiar Sprawiedliwości?

Wydrzyński czuje się pokrzywdzony, pyta, gdzie sprawiedliwość i nie znajduje odpowiedzi, więc sam ją sobie wymierza. Rzecz jasna, tak postępować się przeciwko niemu. Zabrał już dosyć daleko, czy jednak nie ma dla niego ratunku? Czy może rozważyć propozycje sąsiada, który, posłyszawszy o jego rozlicznych życiowych kłopotach, poradził mu życzliwie: powieś się będziesz miał spokój.

TADEUSZ GIGGIER



Pięć dni w Sopocie

wał nawet jurora podsuwając się bokiem do sędziowskiej łóżki. U Polaków nie miał łatwego życia: patrzyli na niego spod oka. Ale z cudzoziemcami jakoś sobie radził. Z tym zagadał, tamtego poklepał, ktoś mu podał rękę, i ludzie z widowni już wiedzieli, że to ważna osobistość.

Wróćmy jednak za kulisy, do kawiarni „Grand”. Czego też nie robili organizatorzy, żeby umilić zagranicznym gościom pobyt w hotelu. Co 15 minut odbywały się pokazy mody lansowanej przez Cepelię. Poszczególne części garderoby zapowiadało dwóch konferansjerów — w języku polskim i angielskim. Modelki biegały między stolikami i wokół sali, siejąc zamęt i popłoch. Grała do tego wszystkiego muzyka i śpiewał zadomowiony w Polsce Austriak, ofiara jednego z ubiegłych Festiwali, ubrany po naszemu, w skromniutką elankę i żółte kamaszki. I śpiewający po naszemu, na wzór Marino Mariniego:



„...Ale chłopiec jej czuł pokonał zły...”. Jednakże nie on był gwóździem programu, a starszawy, zażywny Polak, zapowiedziany jako artysta estradowy — komik i satyryk, specjalizujący się w przedrzeźnianiu dziecięcych głosów. Podam niżej wierszyk z jego repertuaru, abyście mogli sobie wyobrazić, z jakim zachwytem przyjmowała to publiczność — ta polska i ta zagraniczna, nie rozumiejąca wprawdzie treści utworu, ale głęboko zdziwiona piskiem wykonawcy i debilnym wyrazem jego twarzy. Oto ten wierszyk:

„Tata kupił mamie śliczne nowe spodnie elastyczne. Mama jedzie w nich na obóz i udawać będzie globus”.

Ależ to piękna krytyka burżuazyjnego stylu bycia. Ależ to prztyczek w nos licznie zgromadzonych pań, ubranych właśnie w elastyki. Sam widziałem, jak dwie takie zarumieniły się po uszy i wyszły czym prędzej z sali, a dwie inne schowały nogi pod stolik, żeby przypadkiem nie narazić się artyście.

3.

Największymi cudakami Festiwalu byli chłopcy z zespołu The Lords, reklamujący wytwórnę płyt — „Electrola”. Widzieć coś takiego na żywo, to duże przeżycie. Na co dzień ubierali się w wymyślne garnitury, z których jeden był

z zielonego welwetu, drugi ze szkockiej kraty, a inne też z jakiegoś diabelskiego tworzywa o fakturze trudnej do spreycyzowania. Spodnie obcisłe u góry, w nogawkach powiewały jak ślubna sukienka, marynarki zaś do kolan, z całą masą kieszonek i rozporzków, guziczków i medali — przypominały z daleka galową uprząż dla konia. Aha, i do tego buty z cholewami, na bardzo wysokim obcasie.

Nigdy bym się nie odważył zdrwić z Lordów, którzy — ale tak między nami — przypominali raczej parobasów — o toż nigdy bym się nie odważył, gdyby nie parskali śmiechem na ich widok także zagraniczni goście Festiwalu. Ponieważ śmiał się Niemiec, Holender i Francuz, i to jak się śmieli: w kulak, więc ja też, jako Polak, pozwalałam sobie na nieśmiałe he he he...

4. Dużym powodzeniem wśród dziennikarzy cieszą się wydane w Biuletynie Prasowym życiorysy tegorocznych uczestników Festiwalu. Dowiedzieć się z nich można, że taksi Patrycja Cachill ma dwadzieścia cztery lata, pięć stóp i pięć cali wzrostu, że prowadzi samochód, hoduje pudelki i ubóstwia Curry w stylu chińskim, befsztyki, potrawy z kurczaków oraz wszystkie jarzyny z wyjątkiem fasoli. Ze Maria Candido z Monaco miała smutne dzieciństwo: jako mała dziewczynka marzyła o fortepianie, ale mama podarowała jej, zamiast tego, kupioną z własnych oszczędności maszynę do szy-



cia; wówczas Maria wypożyczyła sobie pianino od antykwariusza-artysty, a on, widząc w dziewczusce (tak właśnie pisze: w dziewczusce) wielki talent, nauczył Marię wielkich arii z oper. Ze Rachel z Francji w wieku lat szesnastu miała szczególnie zamilowanie do rolnictwa i chciała hodować na wielką skalę truskawki. Ze Rudolf Schmidberger urodził się w maju 1939 roku z ojca Austriaka i matki Indonezyjki. Ze Sheila Southern lubi oglądać telewizję, szyć własne suknie i gotować, ponadto kocha wieś i zwierzęta, toteż — tego już w życiorysie nie ma — jest znakomitym materiałem na żonę. Ze Szwedka — Marianne, choć bardzo mała, posiada wielką energię i jeszcze większe ambicje, które realizuje we własnym jazz-bandzie (tak

właśnie pisze: jazz-bandzie, aczkolwiek jest to słowo (czy określenie) sprzed pierwszej wojny światowej, który nazywa się „The Boys”, zaś ona, jako kierownik, nosi miano „Band-leadera”, Ze Ronnie Tober z Holandii podbił USA i zdobył tytuł: „Junior Mister America”.

Z tym Ronnie to była niezła historia: jeden z recenzentów festiwalowych napisał w „Dzienniku Bałtyckim”: „Tober



zaśpiewał z dużym temperamentem piosenkę amerykańską i w amerykańskim stylu podaną „Show time no Broadway”. Co tu się dziwić (po tym wstępie. Przyp. M. W.), że w Stanach Zjednoczonych istniały kluby wielbicieli Ronniego...”.

A ja się dziwię. Słowo honoru, że się dziwię. I nie bardzo w to wszystko wierzę. Słuchając i czytając reklamy z kim to razem Ronnie nie występował, z kim nie współpracował, mam cały czas w pamięci słowa Jana Gwoźdźcia, który zdernowował się kiedyś i powiedział:

— Ja też pracowałem razem z Cwiklińską. Ona na scenie ja w kopalni.

Tyle, jeśli chodzi o życiorysy i reklamy. Jeżeli będziecie chcieli wiedzieć coś ponadto, piszcie do „Odgłosów”, które zachowają na pamiątkę cały ten prasowy biuletyn.

5.

Z muzyką rozrywkową dzieją się ostatnio różne hece. W Ameryce i Hiszpanii trwa ostra nagonka na Beatlesów. Potępiają ich rządy, stowarzyszenia religijne, organizacje młodzieżowe i nawet Ku-Klux-Klan.

Powodem tego są niedawne wystąpienia najstarszego z Beatlesów: stwierdził on, między innymi, że jego zespół jest już popularniejszy od Chrystusa.

To ci dopiero reklama. Jestem pewien, że Beatlesi utrzymają się jeszcze długo, długo, jeżeli w dalszym ciągu stosować będą takie chwytły.

A z drugiej strony myślę, że warto by zaadaptować coś w tym stylu do potrzeb festiwalowej reklamy. Niechby na przykład taka Irena Santor oświadczyła wszem i wobec, że jest bardziej świętobliwa niż np. Kunegunda, patronka strapiionych. Zaraz by Watykan rzucił na nią klątwę. Zaraz by przyjechali turyści z



całego świata, żeby obejrzeć z bliska te święta.

I wszyscy by na tym dobrze wyszli. Festiwal, organizatorzy, wykonawcy... Może nawet i Lucjan Kydryński.

MACIEJ WYSOCKI



Akt. G. Skowmał (CSRS)

JERZY DARNAL

PLOTKI

Przeczytałem, nie wierząc własnym oczom, następujący arcy: „Poważne przedsiębiorstwo przemysłu ciężkiego w Łodzi ogłasza konkurs na stanowisko głównego księgowego”. No proszę, do czegośmy już doszli. Do podrywania pracowników nie na dobre pobory, na komfortowe mieszkanie, tylko na powagę. Czy nie z podobnych ogłoszeń rodzą się plotki, że wszystkie pozostałe przedsiębiorstwa są niepoważne? Wszak „Małemu Głosowi” wystarczyła karta z pozdrowieniami od Mariana Piechala, aby go przebrać w kostium pielgrzyma i skazać na uciążliwą wędrowkę po Syberii, chociaż nie ulega żadnej wątpliwości, że najwybitniejszy poeta Łodzi podróżował samolotami i wagonami sypialnymi transkontynentalnych ekspresów. Być może redaktor „Małego

Głosu” zna lepiej ode mnie możliwości finansowe Ministerstwa Kultury, ale to nie przeszkadza, że nawet najbiedniejsze ministerstwo nie ośmieli się zaproponować pisarzowi przejazdów autostopem, tym bardziej więc pieszej wędrowki o kiju, z przewieszoną przez plecy sakwą, co mógł sugerować inteligentnie przydany tytuł notatk: Przypomniało mi się w związku z tym sprawozdanie z pewnego symposiumu poetyckiego, gdzie korespondent gazety wstąpił na chwilę, zaś informacje o zjeździe w całości oparł na wydrukowanym programie przewidującym wygłoszenie referatów, które wygłoszone nie zostały i przyjeździe osobistości, które w rzeczywistości nie przybyły. Muszę stwierdzić, że nie lubię plotek mających pozory informacji prasowej, podobnie jak nie mogę się obejść bez plotek mających pozory towarzyskiej życzliwości. W stosunkach towarzyskich bowiem plotki spełniały tę samą rolę, co pieniądze w obrocie, z pewną różnicą oczywiście, bo nie trzeba ratować ich kursu zarządzeniami administracyjnymi. Ich władza zdaje się być rozleglejsza niż wpływ funta

szterlinga, zaś był pewniejszy niż pozycja Harolda Wilsona, który kiedyś może się podać do dymisji, albo też tak obrzydliwie wyborcom, że nie zechcą na niego zagłosować. Na dowód tego przytoczę wyniki testu, który mój przyjaciel przeprowadził wśród znajomych rozpuszczając pogłoskę, że sukcesy finansowe pewnego poety można wytłumaczyć li tylko pozostawieniem przez tegoż poeeta na zoldzie pewnego mocarstwa równie chętnie zajmującego się zabijaniem Wietnamczyków, jak werbowaniem szpiegów i dywersantów. Nie upłynął nawet miesiąc, gdy mój przyjaciel został zacepiony na ulicy przez znajomego, którego nie widział od roku i usłyszał od niego w największej tajemnicy, że poeta X. jest nie tylko niesympatycznym człowiekiem, ale do tego szpiegiem i otrzymał na swoje usługi takie to, a takie sumy pieniężne. Plotka wróciła więc, zwielokrotniona, do źródła, koło się zamknęło, a mój przyjaciel, który ją wymyślił przez blisko dwa tygodnie chorował na ostre napady śmiechu i prawie nie wychodził z domu, po Warszawie rozeszła się więc pogłoska, że leczy się

w przychodni „W”. Oto czym jest plotka.

A oto kim są jej bankierzy zwani inaczej znoškami, plotkarzami itp., itd., do uzupełnienia przez znajomych lepiej zagadnienie czytelników. Zaczniemy od tego, że facet taki, ze względu na nacjonalizację wszystkich banków musi starannie ukrywać swoją działalność, aby nie zapłacić się mimo woli w paragrafy dekretu o przejęciu na własność państwa. Obiera więc profesję dla tego dekretu obojętną, najlepiej półartystyczną w rodzaju iluzjonistyki, czy fotografii i patrzeć ludziom w oczy z miną pocziwca gromadzi w swoich szarych komórkach wszystko, co od znajomych usłyszy, aby następnie na kredyt, dogodne raty, czy wręcz w formie bezwzględnej pożyczki puszczać w obieg. Jeśli nieopatrznie poprosi się takiego bankiera o zachowanie tego, co usłyszał, w tajemnicy, możemy być pewni reakcji niemalże piorunującej. Nasz znošek szybkojeje ekspresyście zaniesie wszystko, co usłyszał pod właściwy adres. Dopóki się o tym nie wie plotkarz jest dosyć niebezpieczny, kiedy go

się jednak pozna może spełniać nieocenione usługi. Nie ma bowiem nic zabawniejszego, jak wystawianie podobnych facetów do wiatru. Otóż kiedyś po powrocie z wczasów, doszczętnie spłukany z pieniędzy, nie mogłem sobie pozwolić na wysłanie telegramu do przyjaciela mieszkającego na końcu miasta, choć był mi pilnie potrzebny. Spotkałem znoška i dalejże plotkować na przyjaciela prosząc jednocześnie nieożalnego rozmówcę o zachowanie wszystkiego w najgłębszej tajemnicy. Skoro świt obudził mnie dzwonek, w drzwiach zaś stał mój przyjaciel, któremu znošek wszystko poprzedniego wieczoru powtórzył wybrawszy się w tym celu na odległe przedmieście. W ten sposób przyjaciel dowiedział się, że już wróciłem, a ja przeżyłem do pierwszego bez pożyczki.

Nie przesładujcie więc plotkarzy, zawsze się mogą przydać. Zwłaszcza wtedy, gdy teatry zamknęte, w kinach duszno, a w prasie i telewizji ogórki. Dostarcza wam w kanikule godziwej rozrywki.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

DZIEŁA SZTUKI PŁYNĄ SEKWANA

Zgodnie z tradycją każdego lata paryskie galerie wysyłają swoje eksponaty na prowincję. I tak np. zbiory artystyczne z Aulusson przewieziono Sekwaną



do atelier w pobliżu Honfleur. Zebrano tam tkaniny najwybitniejszych artystów. Na miejscu honorowym widnieją arcydzieła Lurcata „Soleil de Paris” (Stożce Paryża), świadczące o wielkości talentu artysty, który wkrzesił zapomnianą już niemal, sztukę tkactwa artystycznego.

„MAŁY KSIĄŻE” NA EKRANIE

W 1959 roku pełna wdzięku, madra i poetyczna opowieść „Mały książę”, której autorem jest Antoine de Saint-Exupéry po raz pierwszy ukazała się w języku rosyjskim, w czasopiśmie „Moskwa”. Obecnie litewski reżyser filmowy Arunas Zebriūnas przygotował ekranizację „Małego księcia”. Będzie



to film długometrażowy, kolorowy i szerokokadrowy.

O „Małym księciu” — mówi reżyser — zdania są najrozmaitsze. Istotnie, każdy po swojemu rozumie tę opowieść. Na zrywają ją symbolizacją, filozoficzną, dojrzałą, dziecięcą, realistyczną, fantastyczną, smutną, poetycką, prostą, madra... I wszystko to jest prawdziwe. Ja dodałbym jeszcze jedno określenie: opowieść ta jest wyjątkowo poetyczna”. Bardzo trudnym zadaniem, jak stwierdza reżyser, było wyszukanie chłopca, który zagrałby rolę Małego Księcia. Tego młodego kandydata na aktora szukano w wielu miejscowościach. Trzej asystenci reżysera szukali takiego chłopca w Kownie, w Leningradzie i innych miastach.



Lotnik — Otar Koberidze

Zamieszczano ogłoszenia w centralnych i miejscowych dziennikach. Rodzice nadsyłali zdjęciowych synów. Nadechodzili setki fotografii.

Wreszcie znaleziono aktora „u siebie w domu” — jak mówi reżyser — bo w Wilnie. Jest to sześciolatek Ewaldas Mikaljunas. W roli lotnika wystąpił gruziński aktor filmowy Otar Koberidze.

GORNIK — WYBITNYM MALARZEM

Edouard Pignon, który wystawia obecnie swe obrazy w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Paryżu jest jednym z najwybitniejszych malarzy współczesnych. Podziwu

godny jest upór z jakim Pignon pracował nad rozwojem swego talentu.

Urodził się w 1905 roku na północy Francji w Bully-les-Mines jako syn górnik. Mając lat piętnaście Edouard zdecydował się do kopalni, aby kontynuować zawód ojca. Praca pod ziemią nie trwała jednak długo gdyż chłopiec zaczął chorować. Pracuje więc jako pomocnik murarski na budowie. W wolny czas poświęca na malowanie. Z początku portrety własnej babki i wujka. Po odświeżeniu w szkole Pignon nie może znaleźć pracy w brudownictwie, znowu więc angażuje się do kopalni Marzy jednak o kształceniu się. W roku 1927 wyjeżdża do Paryża. Tu, aby móc się utrzymać, pracuje w zakładach Citroena, później Renaulta. Równocześnie wieczorami bardzo intensywnie kształci się. Uczy się malarstwa i rzeźby, w muzeach zapoznaje się z dziełami Tintoretta, Véronese'a, Rubensa, Delacroixa. Odwiedza wystawy takich malarzy jak Cezanne, Van Gogh, Matisse, Picasso. Nie stroni od życia związkowego i politycznego, zostaje komunistą, a za udział w strajku zwalniany go z pracy.

W roku 1933 Edouard Pignon wystawia po raz pierwszy swe obrazy. W dwa lata później bierze udział w wystawie zorganizowanej przez Zjednoczenie Rzywoltujących Malarzy i Pisarzy. W tym to czasie zbliża się do ludzi teatru, a nawet występuje na scenie w sztukach Sartre'a i Artauda. W roku 1937 Pignon poznaje Picassa, zaprzyjaźnia się z nim, a przyjaźń ta trwa aż do dziś. Pracuje z nim razem w roku 1951 w stylizacji ceramiki w pracowni Vallauris. W roku 1948 Pignon na festiwalu w Awinionie współpracuje jako dekorator ze znanym reżyserem i aktorem, Jeanem Vilarem. Później projektuje dekoracje do sztuk Brechta „Matka Courage” i Musseta „Nie igra się z miłością”. Wykształcony na malarstwie klasyków, Pignon

Korzystał obficie z doświadczeń ekspresjonistów i kubistów, potrafi jednak wypracować swój własny, indywidualny styl artystyczny. Tematyka jego obrazów olejnych i akwarel

ków są ulubionym widokiem okolic, z których Pignon pochodzi. Krytyka podkreśla, że Pignon malując jakąś scenę próbuje oddać nie dany moment, lecz sumę ruchów i gestów, me-



E. Pignon — „Portret ojca Brun”.

jest różna, choć ma swoje ulubione motywy. Często powraca do tematyki znanej mu z dzieciństwa i pierwszych lat młodości — środowiska górników. Wspomnienie widzianej przed laty katastrofy w kopalni, staje się inspiracją do tragicznego w wyrazie i monumentalnego dzieła „Martwy robotnik”. Kiedy indziej maluje żołnierzy lub katalońskie kobiety cerujące rybaczki sieci. Lubi też malować walczące kogaty, bowiem walki tych ptaków

jako sam ekstrakt poruszających się ludzi czy przedmiotów. Aby namalować jeden obraz olejny Pignon sporządza około stu szkiców. Picasso, który bardzo starannie przyglądał się kiedyś akwarelom Pignona, przedstawiającym pływających ludzi, powiedział do autora tych obrazów: „Widzisz, bardzo dokładnie przyjrzałem się twoim pływakom. Złocił mi, że nie mogę znaleźć żadnego błędu. Chętniebym należał, ale go nie ma”.

UTWÓR HEMINGWAYA „STARY CZŁOWIEK I MORZE” POWSTAŁ W 1937 ROKU?

Były matador, Sidney Franklin oświadczył niedawno, że posiada oryginalny rękopis powieści Hemingwaya pt. „Stary człowiek i morze”. Jak twierdzi, Franklin utwór powstał w 1937 roku podczas wojny domowej w Hiszpanii. Hemingway pisał go na froncie madyryckim, gdy polskie rozrywki się wokół niego.

WALT DISNEY KANDYDATEM DO NAGRODY NOBLA

Argentynka dziennikarka Aimée de Ramos Mejía pragnie aby Walt Disney, rysownik i producent filmowy, został przedstawiony do Pokojowej Nagrody Nobla. Dziennikarka twierdzi, że Disney jest człowiekiem, który ofiarował „naszej biednej ludzkości dobroć, szczęście, swobodę poczucie humoru i marzenia”. Aimée de Ramos Mejía udała się do Hollywood, aby tam przekonywać o słuszności wysunięcia Walta Disneya do nagrody Nobla.

Wtorek
Dzisiaj pozwolimy sobie na dalsze doniesienia o przygotowaniach do Kongresu Kultury. 7 października ustalony został jako dzień, w którym uczeni się pamięć nieżyjących twórców, artystów, działaczy kulturalnych i zastużonych dla rozwoju życia kulturalnego i społecznych. Tego dnia, w całym kraju o godzinie 12 złożone zostaną pod pomnikami, płytami pamiątkowymi i grobach kwiaty. Do uczczenia pamięci twórców polskiej kultury włączone będą również szkoły, które noszą ich imię. W Łodzi dokonano już spisu tych pamiątkowych miejsc i poczyniono wstępne przygotowania do październikowej uroczystości.

czwartek
W Filharmonii, choć wierzcho tego (nieestetycznie) nie widać, wewnątrz przeprowadzono gruntowny remont i adaptację niektórych pomieszczeń. Przed wszystkim poprawiono warunki pracy muzyków i solistów, którzy ku własnej wygodzie otrzymali nowe pokoje. W ramach istniejących możliwości wykorzystano wszystko, co się dało. Na przykład dwa przestronne pomiesz-

ZMAREK ATEŃCZYK Z SAINT-GERMAIN- DES-PRES

W wieku lat 92 zmarł we Francji Raymond Duncan. Nazwisko to nie wiele mówi dzisiejszej młodzieży. A Raymond Duncan przed laty był bardzo znanym aktorem. Urodził się w 1874 roku w San Francisco. Do Paryża przybył w tym czasie, kiedy jego siostra, tancerka Isadora Duncan zdobywała sławę. Isadora zginęła tragicznie w roku 1930 uduszona szalelem. Szal ten wkręcił się w koła kabrioletu, w którym jechała.

Raymond Duncan rozmiłowany w kulturze antycznej ubierał się w tunikę chodząc w sandałach. Wydawało się, że jest postacia, która zesza z fresku Partenonu na Akropolis. Aktor, który najchętniej występował w tragediach Sofoklesa, pragnął przywrócić sztuce antyczną prostotę i siłę wyrazu. Wokół Raymonda Duncana, tego Ateńczyka z Saint-Germain-des-Prés, powstał swolsty ruch entu zjawstw starożytności. Za żywni mieszczanie zatrudniali pantofle, aby nosić sandały, rezygnowali z wykwintego iada stając się wegetarianami. Uczestniczyli do „Akademii” Duncana, aby dyskutować na tematy filozoficzne i uczyć się wyrobienia tkanin i ich barwienia. Produkcja ta wywierała nawet wpływ na ówczesną modę.



Autora reprodukowanych w poprzednim numerze grafik z TEKI MAZURSKIEJ, pana Wiesława Sniadeckiego, przepraszamy za zniekształcenie imienia.

trza teatru. Nowe usytuowanie znajdzie hall kasowy i foyer, szatnie, bufet, kawiarnia, a zupełnie dodatkowo teatr wygospodaruje sobie w tym remoncie całkiem nową salę kamerálną.

Ta przebudowa potrwa, ale Teatr nie przerwie przedstawień (to znaczy przystąpi do nich po wakacyjnej przerwie) i występować będzie na dwóch scenach Teatru 7.15 i Młodzieżowego Domu Kultury, gdzie z kolei scena została poszerzona i przystosowana do potrzeb teatru dramatycznego.

SOBOTA

Jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma... Pewno dlatego powodzeniem cieszy się „Wesołe miasteczko”, które zjechało do Łodzi z Krakowa i rozlokowało się na Pl. Niepodległości. Kółka urządzeń, karuzela, jedna, druga gabinec, luster, strzelnica, siłomierz — i interes leci. Cieszą się dzieci, dorośli też, ale najbawniejsza jest chyba firma, pod którą występuje Wesołe Miasteczko: Spółdzielnia Inwalidów Ochrona Mienia. Najprawdopodobniej chodzi o mienie organizatorów imprezy. Chyba ma się ono nie najgorzej.

T. WOJ.

POLONICA

PAMIĘCI POETY I ŻOŁNIERZA

Na ementarzu w Zgierzku znajduje się mogiła tatarskiego poety Adela Kutuja, żołnierza radzieckiego, którego losy powiały się z oswoobodzeniem tutejszych okolic.

Adel Kutuj urodził się w r. 1903 we wsi Kanady, w dawnej guberni saratowskiej. Początkowo uczył się w szkole wiejskiej, a następnie w szkole zawodowej w Samarze. Tam też zetknął się z młodzieżowym kręgiem literackim, prowadzonym przez znanego pisarza radzieckiego, A. Niebierowa. Pod wpływem otoczenia sam również zaczął pisać wiersze a następnie opowiadania i powieści oraz dramaty. Największy rozgłos przyniosła mu powieść „Nie wrócone listy”.

Podczas wybuchu II wojny światowej był jednym z pierwszych, którzy zgłosili się na front. Brał udział w wielu bitwach, między innymi pod Stalingradem.

Dwukrotnie już od czasu zakończenia wojny miasto nasze odwiedził niecodzienni goście. Była to najbliższa rodzina Rustem — żona i syn. Rustem Kutuj wraz z towarzyszami imi dostojnikami. Dziś Rustem Kutuj jest już dojrzałym człowiekiem i, podobnie jak ojciec, znanym poetą i pisarzem. Przed kilku miesiącami nadeszła od niego piękna książka pt. „Dzieci” wraz z dedykacją dla tutejszej młodzieży z LO im. Stalskiego. W książce tej tamy między innymi taki utwór:

RUSTEM KUTUJ

(Fragment poematu)

Zgierz kruszyna to miasteczko tam na pewno rudi malcy jak i ja ojców może też nie znają gdy znajdują miejsce gdzie ustrońne beda się wstydzić jak dorodzi swoich jez jak się spotkamy odpłacemy razem tam niebo pewnie naszym jest podobne a słonec też nie młodsze tem pewnie ptaki o zatanu skrzydłami roznoszą wiatr a chłopcy świeżych róż bukiety

Ja sam bym nieśro szedł do Polski i kwiatów naniósł jeszcze więcej.

Przekład:

EUGENIUSZ ZARZYCKI

POWSTAŃCY Z 1863 ROKU W AUSTRII

Prof. Herbert Lange z Linzu przysłał nam bardzo ciekawy szkic historyczny, drukowany w „Roczniku Historycznym miasta Linzu za rok 1965”. Jego autorem jest Richard Kutschera, tamtejszy historyk, tytuł — „Internowani Polacy w Linzu”. Chodzi o powstańców z roku 1863 i uciekinierów z zaboru rosyjskiego, którzy z obawy przed represjami władz carskich schronili się na terytorium monarchii austriackiej. Austriacy, leknie się rozprzezestrzeni, nie dali rewolucyjnej, wydzilieli kilka miejscowości internowania, takich jak Olomuniec, Igła wa, Sadowa oraz Linz. Kutschera na podstawie skrupulatnych badań archiwalnych, głównie dokumentów dyrekcji policji w Linzu, opisał losy w tym mieście kilku osób, m. in. generałów Józefa Wssockiego i Ignacego Kruszczyńskiego — ostatni był uczestnikiem powstania listopadowego. Nasi historycy zainteresują się niewątpliwie tym cennym przy czynkiem do dziejów kochanych powstańca styczniowego.

S.K.

POLONICA

PERSONALIA AUTORA

Imię i nazwisko: — Ian Fleming.
Data urodzenia: — maj 1908.
Data śmierci: 1964.
Narodowość: — szkocka.
Pochodzenie: — syn dygnitarza.

Wykształcenie: — Wojskowa Akademia w Sandhurst, uniwersytet w Genewie i Monachium.

Zajęcie: — sprawozdawca Agencji Reutersa w Moskwie, zaufany pracownik brytyjskiego wywiadu morskiego, kierownik oddziału zagranicznego trustu prasowego Kemsley w Londynie, pisarz z powołania.

Dzieła: Słowa miłości z Moskwy, Doktor No, Goldfinger, W tajnej służbie, Żyjesz tylko dwa razy i wiele innych.

Wielbiciele: Allen Dulles, Jacqueline Kennedy, książę Filip i bondomani z wszystkich krajów świata.

Znaki szczególne: czyta się, chociaż to nie jest dobra literatura. Nadużywa się tego do propagandy antykomunistycznej, chociaż Fleming nie zamierzał pisać „antyczerwonej” literatury. Gdyby za życia pisał o Bondzie przed wojną, albo podczas wojny, wrogami Bondy byłoby zapewne nazistów.

Uwaga końcowa: — Co z Bondem? Jest to mit. Tak jak mitem był Winnetou lub Old Shatterhand. Mit pozostanie mitem niezależnie od swej użyteczności czy też szkodliwości.



O BONDZIE — IAN FLEMING

Chociaż Bond jest wyłącznie tworem mojej wyobraźni, do stworzenia jego postaci posłużyło mi wielu ludzi, których spotykałem podczas wojny: pracowników wywiadu, sztabów, dziennikarzy. Doświadczenia wojenne i znajomość postaci posłużyłem się Bondem. Łączy się w nim różne cechy, które zaczerpnąłem u różnych ludzi, po prostu chciałem stworzyć interesującą postać, która spotyka niecodzienne wydarzenia, ale nigdy nie rysowałem Bonda jako idealnego bohatera, czy też potwora. Szło mi o całkiem bezosobowe narzędzie i nie chciałem go narzucać akcji książki. Staralem się mniej więcej naśladować styl postaci Raymonda Chandlera, u którego występują wiarygodni ludzie, wiarygodni bohaterowie. Początkowo nie obdarzałem Bonda cechami charakterystycznymi. W moich wcześniejszych książkach znajdą niewiele jego późniejszych nawyków. Ba, nie obdarzyłem go nawet szczególnym wyglądem zewnętrznym. Wprowadziłem go do swoich książek całkiem niewyraźnym. Dopiero, kiedy poznałem go lepiej, zacząłem uzupełniać jego zwycaśnięty rysy charakteru. Zaczęła jadać określenie posilki, ubierać się na swój sposób, i tak stopniowo, chociaż wbrew własnej woli, nakreśliłem jego charakterystykę. Więcej, na początku nie chciałem robić z niego „bohatera”. W rzeczywistości miał jedynie uosabiać tyłko w znacznej mierze opinię publiczną. Jest to paradoksem, że jego anonimowość umożliwiła czytelnikom jego identyfikację. Ludzie po prostu ubrali Jamesa Bonda w swoje marynarki i zrobili z niego przedmiot podziwu. A ja w swoich książkach właśnie nigdy go nie opisałem.

Każda epoka pisze literaturę sensacyjną na miarę swej inteligencji, pomysłowości, czerpiąc ze swoich kompleksów, tworząc ją na własny obraz i podobieństwo. Tak jak przed stu laty powieści Dumasa i Sue — tak dziś w tej dziedzinie rządzą na Zachodzie Ian Fleming. Jego twór — Bondomania — opanowała umysły miłośników sensacyjnej lektury. Książki i filmy o przygodach Jamesa Bonda kształtują modę, kreują typ współczesnego bohatera.

COCTAIL Z JAMESA BONDA

który dziś przygotowaliśmy może zorientować naszych czytelników ile warte są te książki.

JAMES BOND PRZEDSTAWIA SIĘ

JAMES Bond, wzmocniony się dwiema podwójnymi whisky, siedział w poczekalni lotniska w Miami i rozmyślał o życiu i śmierci.

Zabijanie ludzi było jego zawodem. Nigdy nie robił tego z wielką przyjemnością, a kiedy już musiał do tego, wykonywał swoje zadanie, jak umiał najlepiej i starał się szybko o tym zapomnieć. Kiedy całał do grochu tajnych agentów, którzy oznaczali się dwoma zerami przed numerem służbowym — musiał patrzeć śmierci w oczy z zimną krwią chirurga. Jak śmierć to śmierć. Litość nie należała do jego zawodu.

A przecież śmierć tego Meksykańczyka zrobiła na nim wrażenie. Nie dlatego, żeby ten człowiek za nią nie zasłużył. Był to przestępca, jakich w Meksyku nazywają capungo. Capungo, jest to bandyta, gotów mordować za grosze, chociaż za zabicie Bonda prawdopodobnie dostałby więcej. Był najwyższy czas, żeby umarł; ale kiedy Bond zabił go przed dwudziestoma czterema godzinami, życie uleciało z tego Capungo tak szybko, że Bond niemal dostrzegł już ulatujące życie Meksykańczyka przez usta na podobieństwo ptaka — w co wierzą haityscy dżicy.

Osobiwa jest różnica między ciałem pełnym życia, a ciałem martwego. Ten Meksykankaćzyk miał swoje imię, adres, książkę pracy, może nawet dowód osobisty. Pojem z jego ciała coś zniknęło i został tylko pusty worek, który czeka na zamiatacza. To co zeń uszło było większe niż cały Meksyk.

Bond spojrział na broń, która tego dokonała. Krawędź prawej ręki była czerwona i opuchnięta. Bond poruszył ręką, rozcierał ją przez cały czas krótkiego lotu, który od dalał go od miejsca czynu. Było to bolesne, ale takie poruszenie ręki przyspieszało gojenie. Człowiek nigdy nie wie kiedy broń będzie mu znów potrzebna. W kciukach ust Bonda pojawił się cyniczny uśmiech.

JAMES BOND ZWALCZA POKUSY

PAN jest pierwszym Anglikiem, z którym rozmawiam. I mogę panu powiedzieć wszystko. Od początku mi się pan podobał. Gdybym się stąd wycofała, pewnie by się znalazło dość innych mężczyzn, którzy by mi się podobali.

„Pewnie, że by się znalazło. Całe setki. Bo ty jesteś wspaniałą dziewczyną. Jak tylko cię zobaczyłem, to zaraz sobie to pomyślałem.”

„Przebież pan mnie widział pierwszy raz tylko z tyłu?”

Głos miała coraz bardziej senny.

Bond rozemknął się: „I z tyłu byłaś cudowna. A z przodu — szkoda mówić”. Przy wspomnieniu jej wyglądu ciało Bonda poczuło wzruszenie. Dodał kwasno: „Chodźmy już daringo. Trzeba iść spać. Dostę czasu zostanie nam na rozmowę, kiedy wrócimy na Jamajkę.”

„Naprawdę?” powiedziała sennie. „Przyrzekam mi pan to?”

„Przyrzekam.”

Odgadł, że łokuje się w śpiworze. Spojrzął na nią. Rozpoznał tylko błąd profilu zwrócony w jego stronę. Westchnął ją głęboko, jak dziecko i zasnął.

Zapanowała cisza. Było coraz chłodniej. Bond uświadomił sobie, że popełnił błąd, gdyby zasnął. Myśl jego powracała do minionego dnia, do tej dziewczyny, która wdarta się do jego życia. Jak gdyby przypływała się do niego dziewczyna, wspaniale zwierzątko. Nie może zarzucić na nią petli, dopóki przedtem nie rozwikła jej problemów. To prawda, że z większością poradzi sobie łatwo. Przy pomocy przyjaciół znajdzie jej odpowiednie zajęcie i mieszkanie. Ma przecież pieniądze. Może ją ubrać, zaprowadzić do fryzjera, wprowadzić ją do wielkiego świata. To gupstwo. Ale co z pożądaniem, które do niej czuje? Nie może przecież kochać dziecka. W jej ciele, w jej postaci nie ma nic dziecięcego. Jest już całkowicie dojrzała, na swój sposób inteligentna i umie na siebie zwrócić uwagę o wiele lepiej niż te dwudziestolatki, z którymi Bond nieraz się spotykał.

Skubnięcie za rękaw przerwało rozmyślenia Bonda. Odezwał się cichy głosik: „Dlaczego nie idzie pan spać? Nie jest panu zimno?”

„Nie, jest mi całkiem dobrze.” „Tutaj jest przyjemnie i ciepło. Nie chce pan przyjść do mnie? Znajdzie się dość miejsca i dla pana.”

„Nie, darling, dziękuję. Już tak wytrzymam.”

Chwile było cicho, a potem znów wyszeptała: „Jeśli myślisz... że... to... nie musisz mnie teraz kochać. Możemy odwrócić się do siebie plecami!”

„Spój już. Byłoby to wspaniałe, ale nie dziś w nocy.”

„Rozumiem”. Jej głos przechodził w szepot. „Może kiedy wrócimy na Jamajkę.”

„Może.”

„Nie zasną, jeśli mi tego nie przyrzekniesz?”

Bond powiedział z rozpaczą: „Naprawdę ci to przyrzekam.”

Zaszeptała: „Odtąd jesteś moim niewolnikiem. Przyrzekłeś mi. Dobranoc kochany.”

„Dobranoc kochana.”

JAMES BOND W OPALACH

DOK-OR No zamknął. Potem cicho powiedział: „Ale przecież jest tu pewna różnica”. Kraby pożerają wszystko co im wejdzie w drogę. Dziesiątki tysięcy krabów, jak wielkie czerwone, pomarańczowe i czarne fale idą ku górze i w pośpiechu wzdzierają się na skały nad nami. A wieczorem przajazd w swojej drodze przywiązają nagie kobiece ciała. Dotkną go kleszczami, jeden natrafia na życie, a potem... potem...”

Dziewczyna jęknęła. Jej głowa bezwładnie opadła na pierś. Zemdlała. Odrzuciła łapy strażnika palły Bonda jak ogień. Nie mógł się ruszyć. Skapitulował, powiedział tylko: „Nikczemniku, będziesz się smażył w piekło.”

Doktor No uśmiechnął się niezabnie: Ja nie wierzę w piekło, panie Bond. Może kraby zaczną od razu od jej gardła. Przywalił jej uderzenie pulsu. Wówczas nie potrafił do długo. Powiedział jakieś zdanie po chińsku. Strażnik za krzesłem dziewczynę pochylił się do przodu, zdjął ją z krzesła i jakby to było niemową, wrzucił sobie jej bezwładne ciało przez ramię. Między zwiśnię ramiona dziewczyny opadły włosy, jak złota fala. Strażnik zamknął za sobą bezszelestnie drzwi.

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza. Bond myślał tylko o nożu, który miał pod kosa. Wreszcie doktor No cicho powiedział: „Myśli pan, panie Bond, że moja siła jest duża. Czy jeszcze nie zmienił pan swego zdania? Teraz zajmujemy się panem. Mnie, panie Bond, bardzo zajmuje anatomia odwagi. Ile wytrzyma ludzkie ciało. Ale jak można to wymierzyć? Jak zapisać krzywą woli życia, wytrzymałości, przezwyciężenia strachu? Wiele o tym myślałem i mam wrażenie, że udało mi się to rozwiązać. Oczywiście moja metoda jest dopiero w stadium początkowym. Im więcej ofiar poddam próbie, tym dokładniej sprawdzę jej wiarygodność. Przygotowałem pana do tego eksperymentu, jak najstaranniej, dałem panu odpowiednie środki, pańskie ciało jest wyposzczone, dobrze nakarmione, żeby zachował pan pełnię siły.”

Więcej panu nie powiem, bo podstawowym składnikiem strachu jest moment zaskoczenia. Największe zagrożenie dla rezerwy odwagi stanowi nieznajomość niebezpieczeństwa. Cieszę się, że próba, której będzie pan poddany jest dla pana niewiadoma. To interesujące, panie Bond, że pierwszym moim królikiem doświadczenialem jest człowiek o pana zaletach. Pokładam w panu wielkie nadzieje. Prawdopodobnie dojdzie pan daleko, ale padnie pan na którejś przeszkodzie, a pańskie ciało przyniesiemy z powrotem i dokładnie przebadam fizyczny stan pańskich szczątków. Wszystkie dane zostaną odnotowane. Czyż nie jest to zaszczytna rola, panie Bond?”

Bond nie odpowiedział. Do diabła, co to ma znaczyć? Co się kryje pod tą próbą? Czy w ogóle można ją przeżyć? Czy można w jakiś sposób uciec przed nią i dostać się do dziewczyny zanim będzie za późno? Bond w milczeniu zbierał w sobie ostatnią odrobinę odwagi i ochrocił swój umysł przed strachem, który chwycił go już za gardło. Przede wszystkim musi polegać na swojej broni.

Doktor No wstał i powoli przesunął się ku drzwiom. Spozą drzwi patrzyła na Bonda groźna czarna próżnia. Doktor No obrócił się, za jego plecami drzwi zamknęły się bezszelestnie.

JAMES BOND LECZY REUMATYZM

BLOFELD i Kono weszli, drzwi zamknęły się za nimi i oboje usiedli na drewnianych krzesłach pod nastową lampą i wielkim kuchennym zegarem. Było kilka minut po godzinie jedenastej. Kono kazał Bondowi przejść do drugiego pomieszczenia.

Z drugiego końca pomieszczenia nia odezwał się Blofeld. Mówił po angielsku. Jego głos, między pustymi ścianami, dudnił głucho: „Naczelnik Bond — albo jak wolicie — numer 007 w brytyjskiej tajnej służbie, znajdując się w komorze śledczej, która jest moim wynalazkiem i zmusza do mówienia. Siedziście nad gejerem, który wyrzuca lawę o temperaturze 1000 stopni do wysokości około trzydziestu metrów. Wasze ciało znajduje się na wysokości piętnastu metrów nad jego ujściem. Był to genialny pomysł — ująć ten gejer w kamienny lejek, na którym teraz siedzicie. Gejer działa periodycznie. Erupcja następuje co piętnaście minut. Blofeld obejrzał się za siebie i znów obrócił się ku niemu.

„Możecie więc sprawdzić, że do nowego wybuchu dojdzie za jedenaście minut. Jeśli mnie nie rozumiecie, albo nie zrozumiecie przekładu, który za chwilę nastąpi, jeśli jesteście głuchym i głupim Japończykiem, jak twierdzicie, nie podnieście się z krzesła i umrzecie najstraszniejszą śmiercią. Jeśli dacie nam do zrozumienia, że słyszycie i rozumiecie, poddamy was torturom, które zmuszą was do odpowiadania na moje pytania. Musimy ustalić waszą tożsamość, jak się tu dostaliście, kto was wyśłał, w jakich zamiarach i ile ludzi jest do tego wciągniętych. Na wypadek, gdyby wasze dokumenty były prawdziwe, mój główny strażnik wyjaśni wam cel tego pomieszczenia po japońsku „Kono, sag'ihm auf japonsch den Zweck dieses Zimmers”.

Kono już stał przy drzwiach. Wyszczekał do Bonda kilka ja pańskich zdań. Bond nie zwracał na niego żadnej uwagi. Siedział całkiem swobodnie i nonszalancko rozglądał się po pomieszczeniu.

JAMES BOND UCHODZI Z ZAMKU ŚMIERCI

KIEDY Pusia zobaczyła że postać w czarnym kimono wpada do morza stała się dla niej jasną że to jest on. Przypłynęła dwieście metrów od muru tak szybko jak nigdy przedtem. Silne uderzenie wody zaparło Bonda w dech, ale pragnienie życia, które przytłumił dojmujący głód, zwyciężyło w nim dzięki nowemu, nieznanemu wrogowi — morsu. Kiedy Pusia zbliżała się ku niemu zdolał już wyswobodzić się z kimona.

W pierwszej chwili wziął ją za Blofelda.

„To ja, Pusia!” krzyknęła. „Pusia! Suzuki! Czy mnie nie poznajesz?”

Nie poznał jej. Widział przed sobą tylko twarz swojego przyjaciela, ale siły go opuściły, obelgi słaby i wreszcie pozwolił, aby z niego ściągnęła kimono; zaczynał rozumieć już jej głos.

„Rob to co ja Taru-san. Jesteś wyczerpany, pomogę ci. My jesteśmy tu wywiezieni jak ratownicy.”

Ale kiedy zaczęła pływać Bond nie naśladował jej. Zamiast tego krążył wokół niej jak ranne zwierzę. O mało się nie rozplakała. Co się z nim stało? Co mu zrobił w zamku śmierci? W końcu złapała go delikatnie przemawiała do niego go, a Bond pozwolił jej posłuszenie, aby ujęła go pod pachy, głowę położył jej między pierś. Pływała na plecach i unosiła go ku brzegowi.

Był to ciężki wyczyn pływakki dla dziewczyny — pół mil przeciw prądowi, a orientowała się tylko według kostki, co czasu do czasu spoglądała za siebie. Ale udało się jej — wyciągnęła Bonda z wody i pocięła na plastik skąły obok niego. Przyjrzał się jej uważnie.

„Jesteś bardzo piękna”. Pusia spojrzała na niego tęsknie. Nade wszystko opanowała ją radosna myśl: „Ty już nie nie pamiętasz? Zapomniałeś kim jesteś i skąd przychodzisz?”

Bond przesunął ręką po czole i przetarł oczy. „Wszystko za pominięciem” powiedział ze zniechęceniem. „Została mi w pamięci ci tylko twarz tego człowieka. To był zły człowiek. Chyba już nie żyje. A ty jak się nazywasz? Wszyscyś mi musisz opowiedzieć?”

„Nazywam się Pusia Suzuki, a ty jesteś moim kochankiem. Twoje imię jest Taru Todoroki. Mieszkamy na tej wyspie i razem chodzimy na ryby. Zjemy tu jak w raj. Czy możesz już iść? Muszę cię zaprowadzić do naszego mieszkania, nakarmić i wezwąć lekarza. Na głowie masz wielką ranę, krwawisz. Upadłeś, kiedy wspinając się po jafka czajek”. Wstała i wyciągnęła do niego rękę.

Bond uchwycił się jej i ciężko się podniósł. Chwyła go pod ramię i delikatnie prowadziła do swojego domu. Ale nie weszła do niego, tylko szła dalej w górę, ku gajowi z niskich jaworów i kamelowych krzewów. Zaprowadziła go za chińską świątynię, do jaskini. Powiedziała: „Tu mieszkasz. A ja mieszkam z tobą. Już sprzątnęłam nasze łóżka, zaraz je przyniosę. Teraz połóż się, mój miły i odpoczywaj, a ja będę cię pielęgnować. Jesteś chory, ale lekarz postawi cię na nogi”.

Bond posłuchał jej i wnet zasnął, oparłszy bolącą głowę na ramieniu.

Pusia biegła ku wzgórzom; a serce jej śpiewało.

Felieton
Ćwieka
zamieszczamy
na str. 2